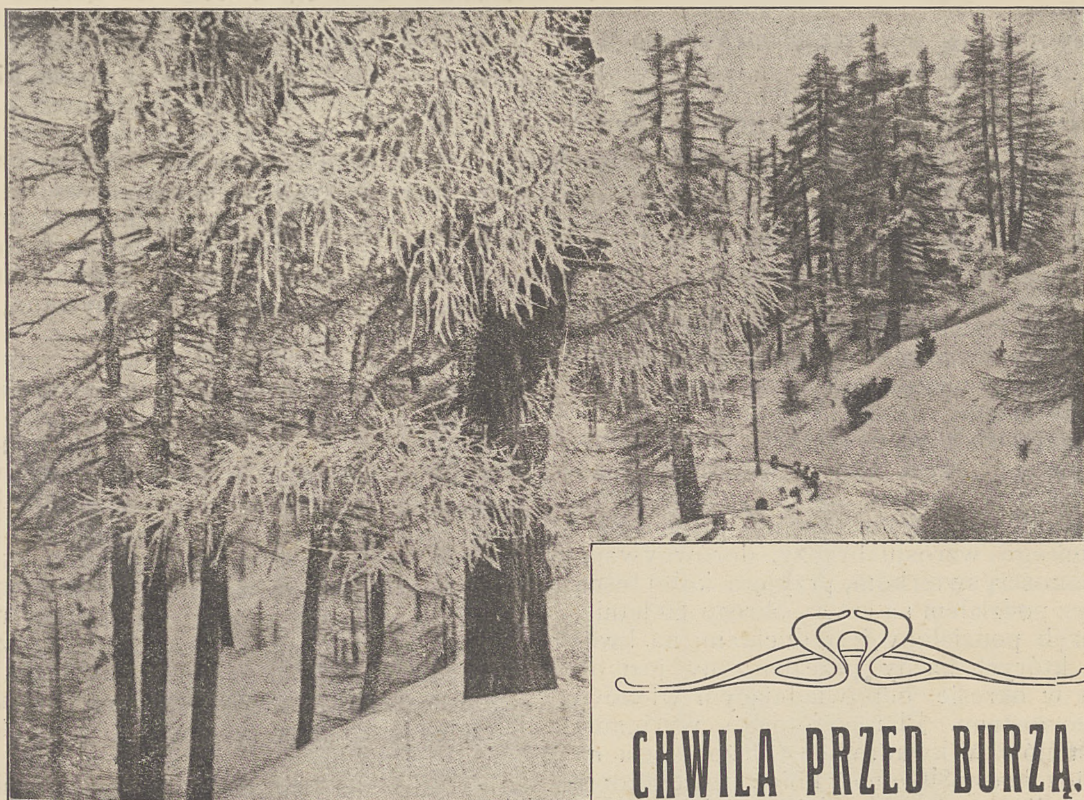
GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY

Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.

№ 9. WARSZAWA, ꝏ 1 Maja 1913 r. Rok II.



CHWILA PRZED BURZĄ.

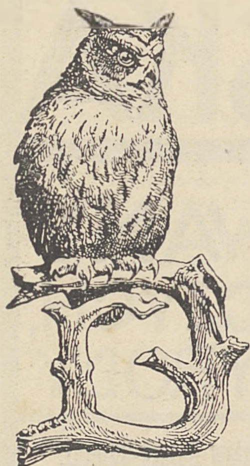
Cisza: tylko niekiedy komar dziwnym dzwię-
[kiem,
Jakby życia odlotu swym żałował jękiem,
Płacze. Drzewa zamarły w nieruchomym
[strachu:
Tu gałąź dębu, jakby w potężnym rozmachu
Zapytać nieba chciała—co cisza ta znaczy;
Tu znów wierzchołek sosny w chmury pil-
[nie baczy
Co będzie: żali one przyniosą wichr srogi
I karę za zło świata ześlą znowu bogi,
Wytaczając armaty na okopy nieba,
By razić piorunami? Tego bać się trzeba...

Czy może tylko posły, pędząc w dal nieznaną,
Głośną grzmotów pobudką kędyś odegraną
Zbudzone swe ponure roztoczyły twarze,
By spojrzeć gdzie do pracy Opatrzność iść
[każe,
Przemkną w szalonym biegu, nad strwożo-
nym lasem
I tylko zdala zagrzmią piorunów hałasem?...
Niepewnością strwożone ptactwo i zwierz
[wszelki
Pomiędzy konarami, w gąszcz skrywa strach
I czeka... [wielki

M. Godlewski.

W. OLSZOWSKI.

Gospodarstwo leśne w dobrach Mierzów.



obra Mierzów, własność hr. Leona Łubieńskiego, położone są w gubernii mohylowskiej powiecie orszańskim w odległości 14 wiorst od miasta Orszy i 6-u wiorst od stacji Stajki koleji Rygo-Orłowskiej. Lasów zagospodarowanych prawidłowo jest w nich 6188 dziesięcin. Ponieważ gospodarstwo leśne prowadzone jest w nich wzorowo, chcę więc zapoznać czytelników z głównemi jego zasadami i osiąganemi rezultatami.

Lasy składają się z trzech oddzielnie położonych części, przedzielonych folwarcznemi gruntami, a ponieważ części te różnią się od siebie naturą i składem drzewostanów, przeto stanowią one pod względem gospodarczym trzy osobne jednostki, czyli obręby.

Obręb Mierzów, mający przestrzeni 2300 dziesięcin, pokryty jest drzewostanem świerkowym, wyniosłym i dobrze zwartym, z przymieszką mniej lub więcej w różnych miejscach brzozy, a tu i owdzie także osiny. Grunt pod lasem przeważnie gliniasto piaszczysty, częściowo szary piaszczysto-gliniasty ze spodem gliniastym, a zatem zawsze wilgotny, a w niższych miejscach i po deszczach mokry. Ponieważ wzrost drzew tak na wysokość, jak i na grubość jest bardzo szybki, przeto tak z tego względu, jako też z powodu przymieszki i znakomitego wzrostu brzozy, dorównywającej wysokością świerkom, przyjęto kolej leśną 80 letnią z podziałem na cztery okresy 20 letnie. Cały obręb podzielony jest duchtami na kwadraty, z których każdy przeznaczony jest do wycięcia w okresie odpowiadającym wiekowi jego drzewostanu. Plan ogólnego wycinania drzewostanów w kwadratach ułożony jest na wszystkie okresy 80 letniej kolei, szczegółowy zaś plan tylko na pierwsze dziesięciolecie pierwszego okresu, które obecnie się skończyło, więc układa się podobny plan na drugie dziesięciolecie z małemi tylko zmianami, jakich potrzebę wskazało doświadczenie pierwszego dziesięciolecia.

Ręby zakładają się kolejne i czyste bez pozostawienia nasienników, według systematu powierzchniowego, poczem oddaje się wyciętą przestrzeń na cztery lata w użytkowanie rolne okolicznym włościanom z obowiązkiem wyjęcia pni przynajmniej o tyle, aby pozostałe nie przeszkadzały zamierzonym kulturom sztucznym. Cel takiego użytkowania: spulchnienie ciężkiej i twardej gleby i zniszczenie darni. Włościanie płacą za takie 4 letnie, a właściwie trzyletnie użytkowanie rolne, bo jeden rok schodzi na wyjęcie części pni i wyoranie gruntu, 7 do 15 rubli z dziesięciny, zależnie od stanu i dobroci gleby. Po takiem przygotowaniu gleby pod kulturę lasu już samo wyoranie bruzd pługiem co trzy stopy odległych przed siewem lub sadzeniem jest dostateczne. W bruzdy te sadzi się trzyletni świerk, na wyższych i lżejszych piaskowatych kawałkach roczną sosnę, na nizinach gliniasto-czarnoziemnych żołądź dębu, rzędami naprzemian z trzyletnim świerkiem, dającym dąbkom boczny cień i osłonę od przymrozków, na mokrych nizinach sieje się świerk na grzbietach wyoranych i założonych jedna na drugą bruzd.

Oprócz kolejnych rębów zasadzono lub zasiano świerkiem w części sosną kilkadziesiąt dziesięcin halizn wśród leśnych i pól pobrzeżnych, włączonych do gospodarstwa leśnego dla wyprostowania krętych granic lasu, co ma znaczenie w lasach świerkowych, których ściany nadbrzeżne szczególniej od strony panujących tu wiatrów północno-zachodnich narażone są na masowe wywracanie drzew, zwłaszcza jeśli te ściany są załamywane w ostro występujące na zewnątrz kontury.

Rezultaty tak siewu, jak i sadzenia są bardzo dobre. Jednę tylko mogę zrobić uwagę, że siew i sadzenie w bruzdy tylko co trzy stopy odległe są za gęste, co wywoła potrzebę zbyt wczesnej trzebieży, kiedy materjał trzebieżowy jeszcze nie będzie miał żadnej wartości, a zatem nie pokryje nią kosztów roboty. Odległość czterostopowa byłaby zupełnie dostateczna, zwłaszcza, że ze ścian sąsiedniego lasu mieszanego z brzozą nalatują masy nasion brzozowych na świeżo poruszoną ziemię w bruzdach i nad bruzdami i wytwarzają takie gąszcze zarośli między rzędami sadzonek, że trzeba je co parę lat czyścić, aby nie zagłuszały sztucznie wyhodowanej młodzieży, podpęd więc dla wzrostu w górę tej młodzieży jest zapewniony. Racjonalnemby nawet było sadzić świerk i dąb rzędami tylko co pięć stóp odległemi, pozostawiając między niemi dla podpędu samosiewną brzezinę dłużej na 3—5 lat, przez co zmniejszyłyby się koszty, jeden na sadzenie, a drugi na częste wycinanie brzeziny.

Na rok lub dwa przed sadzeniem rębu przeprowadza się rowy osuszające w tych miejscach, gdzie zbyteczna wilgoć byłaby szkodliwą dla kultury świerku i dębu. Co do zmiany szczegółowego planu gospodarczego na następujące dziesięciolecie, to ona wprowadzona została tylko co do jednego kwadratu, którego jedna ściana północno-zachodnia wystawiona na jakieś stale powtarzające się

prądy silnych wiatrów podlega tak często wywracaniu drzew, że drzewostan już jest mocno przerzedzony. Wskutek tego przeznaczenie tego kwadratu do drugiego okresu zmieniono i zdecydowano wziąć go pod wycięcie i odmłodnienie w rozpoczynającem się już dziesięcioleciu. Projekt ten jest trafny, sądzę jednak, że przyczyną częstego wywracania drzew przez wiatry głównie w tym jednym kwadracie nie jest tylko sam wiatr, gdyż i kilka innych kwadratów ma także ściany lasu wystawione na wiatry północno-zachodnie, a jednak takiemu wywracaniu drzew świerkowych nie podlegają. Zapewne ważniejszą przyczyną jest natura gleby, w której korzenie świerków rozpościerają się za płytko pod samą powierzchnią ziemi, więc nie mogą w niej umocnić się dostatecznie, aby opierać się wiatrom. Z tego względu radziłbym przed wycięciem rębów w tym kwadracie osuszyć glebę dokładnie rowami, co ją zrobi sztywniejszą, a po wycięciu wprowadzić, jeśli nie na całym kwadracie, to na nadbrzeżnym pasie kilkunastoprętowym kulturę dębu i sosny, jako drzew zapuszczających głęboko korzenie palowe, a zatem odpornych przeciw wiatrom.



Powały w lesie.

Obręb Sarmatsk I-szy mający przestrzeni 1480 dziesięcin, pokryty jest na połowie z glebą szaro-piaszczystą drzewostanem sosnowym, na drugiej połowie z glebą piaszczysto-gliniastą drzewostanem świerkowym mieszanym z brzozą i pojedynczą osiną. Kolej leśną przyjęto dla lasu sosnowego i mieszanego sosny świerkiem 100 lat ze względu na słabszą glebę i powolniejszy wzrost drzew, aniżeli w obrębie Mierzów, a dla lasu świerkowo-brzozowego 60 lat. Obręb jest również podzielony duchtami na kwadraty, a każdy z nich jest planem przeznaczony do wycięcia w okresie odpowiednim do wieku drzewostanu.

Plan szczegółowy ułożony był na okres pierwszy 20 letni, wykonywany zaś dopiero na pierwsze dziesięciolecie. Ręby zakładają się kolejne w kiernnku od południowego wschodu ku północo-zachodowi ze względu na panujące tam wiatry północno-zachodnie. Odmłodnienie rębów prowadzi się naturalne, a zasadę tę wykonywa się w drzewostanie czystym sosnowym lub z małą przymieszką świerku i brzozy przez ręb dwukrotny: obsiewny, przy którym pozostawia się około 40—50 sztuk nasienników na każdej dziesięcinie lasu, i następnie ręb zupełny, gdy już obsiew dostateczny się pojawi. W drzewostanach zaś, w których jest znaczna przewaga świerku nad brzozą i w mieszanych świerkowo-brzozowych stosuje się ręb trzykrotny, pierwszy ciemny, który jest zarazem i obsiewnym, a zapewnia powstającej z samosiewu młodzieży należyte ocienienie, po kilku latach wykonywa się ręb drugi zwany jasnym, przy którym wyrębuje się około połowy pozostawionych w pierwszym rębie nasienników, a gdy już powstała kilkoletnia i dobrze zwarta młodzież może się obejść bez ocienienia, wykonywa się ręb trzeci zupełny.



Dom myśliwski wśród lasów.

Ten system wielokrotnych rębów prowadzi się w tym obrębie dopiero od czterech lat, rezultaty więc odmłodnienia są tylko częściowe, można jednak już to, co osiągnięto, uznać za zadawalniające i wniosek postawić,

że sztuczne dosadzanie na placach po wyjętych nasiennikach będzie potrzebne w bardzo małym rozmiarze.

Uprawy sztuczne prowadzone były tylko na haliznach i polach włączonych do lasu przy regulacji granic. Zasadzono, w części zasiano świerkiem i żołędzią dębową około 110 dziesięcin z doskonałym rezultatem.

Obręb Sarmatsk 2-gi ma przestrzeni 2408 dziesięcin, a pokryty jest bardzo rozmaitemi drzewostanami, odpowiednio do natury siedliska, które zajmują. Plan gospodarczy ułożony dopiero w roku bieżącym. Część obrębu ma glebę piaszczystą, lekkowzgórkowatą, suchą, pokrytą przeważnie siwym mchem z rodzaju Gypnum, na której rośnie drzewostan czysty sosnowy, mający wygląd zewnętrzny średniowiecznego, gdyż strzały drzew są proste, nie bardzo wyniosłe, kora na nich cienka, gładka i bez sęków aż do trzech czwartych wysokości, grubość strzał od 8 do 11 cali na wysokości piersi, a pomimo to wiek z obliczenia drobnych a gęstych słojów 100 do 120 lat. Odmłodnienie tego lasu zaprojektowano sposobem naturalnym w kolei 120-letniej za pośrednictwem dwóch rębów, obsiewnego i zupełnego, gdyż z samego rozejrzenia się w stanie takiego drzewostanu widoczną jest nadzwyczajna łatwość obsiewania się wszystkich halizn i pustych przestworów w miejscach rzadszych z samosiewu obok stojących drzew, nawet bez zdarcia pokrywy mchu i poruszenia ziemi. Jednakże w celu zasilenia ziemi w większą ilość mineralnych związków potrzebnych dla rozwoju drzew zaprojektowano szwedzką metodę takiego zasilenia przez spalenie dosyć grubej warstwy siwego mchu, pokrywającego powierzchnię gruntu, zaraz po wykonaniu pierwszego rębu. Zabieg taki ma znakomicie wpływać na dobry wzrost mającej tam powstać sosnowej młodzieży, przyczyniając się jednocześnie do równego i pełnego zasiewu zaraz po pierwszym roku urodzaju szyszek na nasiennikach. Zasiłek dla gleby ma stanowić popiół ze spalenia mchu, drobnych gałęzi i ściółki. Zabezpieczenie nasienników od przypalenia zapewni poodgrabianie naokoło nich mchów i ściołki do czystej ziemi.



Ręb leśny w zimie.

Druga część obrębu ma glebę brunatnotorfiastą, mocno wilgotną, pokrytą grubą warstwą mchów z rodzaju Sphagnum, przerośniętych borówką żórawiną, miejscami wrzosem torfowym, na której rośnie rzadko karłowata sosna i takież podrosty swierku i brzozy. Przestrzeń tę projektuje się zalesić sposobem naturalnym według następującej metody, wypróbowanej w innych lasach: przedewszystkiem należy przestrzeń takiego torfu osuszyć siecią rowów mniejszych, łączących się z głównym, większym rowem, odprowadzającym wodę na zewnątrz. Następnie karłowaty drzewostan wyciąć, zostawiając najlepsze drzewa w ilości 50—60 sztuk na dziesięcinie za nasienniki. Po upływie 3—5 lat mech i wszelka przerastająca go bagienna roślinność uschnie zupełnie, poczernieje i skruszeje tak, że będzie miała wygląd jakby przypalonej. Na tak zmienionej przez osuszenie powierzchni siedliska i nasiona sosnowe, które na starych karłowatych sosnach prawie corocznie obradzają obficie, wypadłszy z szyszek w początku wiosny, po pierwszym obfitszym deszczu wzejdą i utworzą bez pomocy ręki ludzkiej naturalną zarośl, ta zaś na zasilonym przegniłym mchem gruncie rosnąć już będzie prawidłowo, niekarłowato. Jeżeli z sąsiedniego lasu nalatywać będą nasiona świerku i brzozy, to i te będą wschodziły i rosły bujnie. Gdy zasiew będzie już pełny i dojdzie do 4 lub 5 lat, wtedy nasienniki będą usunięte.

Trzecią część obrębu stanowią drzewostany mieszane, świerk z brzozą i pojedynczą sosną, na szarym glinkowatym piasku miernie wilgotnym. Kolej dla nich przyjęto 60 letnią, a sposób odmłodnienia naturalny za pomocą trzykrotnego rębu, takiego, jak opisany dla podobnie mieszanego drzewostanu w obrębie Sarmatsk 1-szy. W niektórych kwadratach lasu mieszanego są poddziały, w których do świerku przymieszany jest duży procent dębu, jesionu, klonu, olszy czarnej, brzozy i pojedynczych wiązu polnego, limaka i brzostu. Mieszanina ta rośnie na glinkowatym czarnoziemie ze spodem gliniastym. Na gruncie tym pod drzewami znajduje się bardzo rzadka roślina zielna Jaśminek pachnący (Asperula odorata). Czwarta część obrębu z glebą czarnoziemno piaszczystą pokryta jest drzewostanem bardzo bujnie rosnących brzozy i olszy czarnej. Dla tego drzewostanu przyjęto kolej leśną 40 letnią i sposób odmłodnienia lasu odroślowy, czyli nizkopienny według poprzedniej terminologii niewłaściwej, zwłaszcza w danym wypadku, gdyż pnie brzóz i olch 30 letnich są nadzwyczajnej wysokości.

Nie bez interesu dla czytelników będzie krótki opis sposobów użytkowania drzewa z cięć kolejnych. Wszystkie drzewa sosnowe i świerkowe grubszych wymiarów, zdatne na materjały tarte, sprzedają się kucom z warunkiem wytarcia ich na miejscowym dworskim tartaku i opłaty za tarcie po $6^1/_2$ kopie-

jek za każdy werszek średnicy kloca długiego 9 arszynów, oraz pozostawienia dla tartaku obrzynków, co odpowiada cenie tarcia 3 kopiejki od stopy kubicznej miary angielskiej. Warunek pozostawiania oprócz trocin jeszcze i obrzynków ma specjalne znaczenie z powodów następujących: Na granicy dworskiej pobudowany został przez obcego młynarza na placu odstąpionym mu za umówioną cenę parowy młyn. Plac sprzedany został z warunkiem, że maszyna parowa będzie jednocześnie obsługiwała i tartak pobudowany obok młyna przez zarząd leśny, za którą to obsługę tenże zarząd będzie płacił po kopiejce od jednego werszka górnej średnicy 9 arszynowego klocka i pozostawiać na opał właścicielowi młyna trociny i wszystkie obrzynki. Zarząd leśny więc otrzymuje zapłatę po $5^1/_2$ kop. od werszka średnicy górnej kloców, po strąceniu jednej kopiejki dla młynarza. A że tartak wyrzyna dziennie przeciętnie 600 werszków, przeto dochód dzienny brutto z tartaku wynosi 33 rb. Strąciwszy z tej sumy zapłatę robotnikom przy gatrach i cyrkularkach rb. 7 a na zużycie pil, pilniki i t. p. rb. 2, to pozostaje Zarządowi leśnemu na czysto suma 24 rb. jako dzienny dochód. Jeśli tartak pracuje 180 dni w ciągu roku, to dochód roczny wyniesie 4320 rb. Ponieważ budowa tartaku kosztowała 5000 rb. z powodu kupna używanego gatru i wszystkich przyborów za 2200 rb., przeto kapitał włożony w tartak przynosi procent $87^0/_0$.



Sadzenie lasu w robocie.

Wszystkie drzewa świerkowe niezdatne na materjał deskowy, a grube w średnicy na cali 4 i wyżej, wyrębują się w sążnie krąglakowe, czyli niełupane, przy długości polan 25 werszków ($43^3/_4$ cali ang.). Sążeń kubiczny miary rosyjskiej z nadmiarem po dwa werszki na wysokość, szerokość i długość, czyli 50×50×50 werszków=387 stóp kub. objętości, a 282 stóp kub. ścisłej masy, sprzedaje się do fabryk cellulozy i papieru w Rydze po 36 rb. franco wagon na stacji kolejowej Stajki w bliskości lasów położonej. Wycięcie sążni z okorowaniem kosztuje 4—5 rubli, zwózka tyleż, naładowanie 1 rb., na czysto więc otrzymuje się sążeń świerczyny 25 rb. 50 kop., czyli za stopę kubiczną miary angielskiej 9 kopiejek. Jest to w tamtejszych stosunkach cena bardzo wysoka. Drzewo brzozowe zakupuje stale fabryka spirytusu drzewnego w Wydrycy w bliskości lasów położona. Drzewo wyrabia się w sążnie szczapowe, czyli łupane. Za sążeń, którego miara po 3 arszyny wszerz, wdłuż i na wysokość, fabryka płaci 8 do 15 rb. w lesie, zależnie od odległości cięcia od fabryki, lasy bowiem są obszerne i ciągną się kilkanaście wiorst wzdłuż. Sążeń ma ścisłej masy 250 stóp kub., a zatem stopa kubiczna drzewa płaci się $3^1/_4$ do 6 kopiejek. Fabryka Wydryca wyrabia z brzeziny oprócz spirytusu drzewnego, esencję octową, octan sody, formalinę, pak i węgiel, z którego wyrabia brykiety i w tej formie sprzedaje na opał.

Sądze, że sprzedaż sążni brzozowych fabryce spirytusu z odleglejszych części lasu i z powodu tylko kosztów przewózki po cenie 8 lub 9 rb. powinna być uznana za nieodpowiadającą miejscowym warunkom, gdyż lasy położone są w kącie utworzonym z przecinających się dwóch linij kolei żelaznych warszawsko-petersburskiej i rygo-orłowskiej i w pasie okolicy pomiędzy dwiema spławnemi rzekami Dnieprem i Dźwiną zachodnią, a z Rygą łączą się za pośrednictwem i kolei żelaznej i rzeki Dźwiny; lasy zaś okoliczne są już mocno wyniszczone, nie czynią więc w handlu drzewnym konkurencji.



PSY POLUJĄCE.

Stanowczo zamało pisze się i mówi o psach polujących, chociaż te zdziczałe bestje gorsze są nieraz od innych drapieżników. Tymczasem jak wielkiem jest nieszczęściem posiadanie psów polujących w swoim rewirze, może tylko ten osądzić prawdziwie, kto z tą bandą rozbójniczą ma do czynienia.

Trudno określić z całą stanowczością, które rasy psów najwięcej objawiają skłonności do zdziczenia. Najczęściej sami właściciele przypisać sobie powinni winę, gdy ich psy korzystają z każdej sposobności, ażeby się wałęsać po lesie i po polu. Ba! są pomiędzy właścicielami psów nawet tacy, którzy psy polujące uważają za cenne stworzenia dlatego, że od czasu do czasu przynoszą one jakąś pieczonkę do domu.

Pies polujący niczem nie rożni się od najzwyklejszego dwunożnego kłusownika, ta tylko pomiędzy nimi zachodzi różnica, że człowiek z najniewinniejszą w świecie miną dzień przepędza w chacie, a pies w budzie. Skoro jednak zmrok zapadnie, obaj korzystają z ciemności i zaczynają grasować.

Spuszczony z łańcucha pies bardzo prędko zapomina, że obowiązkiem jego jest przedewszystkiem stróżowanie i z wolności korzysta w ten sposób, że dobrawszy sobie towarzysza, rozpoczyna wędrówki. Jeżeli dwa psy polujące spotkają się wieczorem na drodze, to przedewszystkiem „pozdrowią się“ uprzejmie w zwykły rodowi psiemu sposób, a potem zaraz biegną w stronę pobliskiego lasu. Wesoła wówczas rozpoczyna się zabawa, a tem weselsza, im zwierzostan lepiej jest utrzymany. Rezultat zależy głównie od pory roku. Jeżeli w lesie znajduje się słaba jeszcze zwierzyna, albo też jeżeli ostry mróz ściął twardo śnieg, utrudniając zwierzynie ucieczkę, to wtedy rabusie używają w całej pełni.

Najgorszymi szkodnikami są psy milczące, taki bowiem okaz, który poszczekuje, lub ziaje, mniej jest niebezpieczny. Nadzwyczaj jest trudno odzwyczaić psy od polowania po nocy; skoro bowiem świt się ukaże, już są w domu, wygrzewają się przy piecu, albo też śpią w budzie i marzą słodko o popełnionych w nocy zbrodniach. Właściciel nie przypuszcza nawet, że jego „Amor“ albo „Karo“ jest skończonym nicponiem.

Pomimo, że podczas długiej mojej karjery łowieckiej potężną ilość psów zdziczałych wyprawiłem na tamten świat, jednak niektóre wypadki utkwiły mi głębiej w pamięci.

Pewnego razu miałem do czynienia z dwoma psami, silnemi kundlami, przeznaczonemi do strzeżenia bydła. Najwytrawniejszy lizus nie mógł iść w porównanie z temi bestjami, które umiały świetnie ukrywać swe skłonności.

W ciągu lata zauważyłem w pewnej części mojego rewiru znaczną ilość trwożliwie uciekających saren; wyrozumowałem przeto, że coś tutaj nie jest w porządku i odrazu wpadłem na myśl, iż w grę wchodzą w tym wypadku psy polujące. Domniemanie to potwierdziło się wkrótce, gdyż na drodze bocznej, przeznaczonej do wywózki drzewa z lasu, zobaczyłem świeże jeszcze zupełnie psie ekskrementa. Ponieważ o 25 minut drogi znajdowała się duża wieś, więc przypuszczałem, że szkodniki muszą stamtąd przychodzić. Na tem kończyły się moje domysły. Jak tu jednakże zgryźć ten twardy orzech?

Napróżno łamałem sobie głowę, lecz, jak to często bywa, z pomocą przyszedł mi prosty wypadek. Niewiele obiecywałem sobie z zakładania żelaz, tem więcej, że upały panowały wielkie i każde świeże ścierwo musiałoby się prędko zepsuć. Nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko urządzić zasadzkę i cierpliwie na obranem stanowisku czekać od wieczora do rana na pojawienie się szkodników.

Pierwszy tydzień minął bez żadnego rezultatu i ani jeden pies nie ukazał się moim oczom. Wprawdzie nad ranem natrafialiśmy na ślady świeżego ich pobytu, na strzał jednak nie podchodziły. Nareszcie jakiegoś dziesiątego, czy też jedenastego dnia wybrałem się wcześniej i gdy świtać zaczęło, dostrzegłem dwa psy, z których jeden był biało-szary, a drugi czarny zupełnie. Oba wybiegły z lasu i dążyły w stronę wsi; ponieważ jednak oddalenie wynosiło około 300-tu kroków, nie mogłem nawet myśleć o strzale. Natychmiast schwyciłem gwizdawkę, ale nawet najsłodsze tony z niej wydobywane nie zdołały skłonić czworonożnych kłusowników do zawrócenia z drogi. Przez chwilę nasłuchiwały uważnie, ażeby później z tem większą szybkością popędzić ku domowi. Coś jednak już osiągnąłem, a mianowicie przekonałem się, którą drogą te szelmy wychodzą z lasu. I to już była pewna wygrana. Następnego poranka usiadłem na czatach w tem miejscu, którędy się wymknęły.

Znów spotkał mnie zawód: bestje bowiem, ku wielkiemu memu oburzeniu wybiegły o jakie 400 kroków poza mną, t. j. właśnie w tem miejscu, gdzie dniem poprzednio czatowałem. Ciemno jeszcze było zupełnie, gdy nazajutrz znów wybrałem się i zasiadłem w upatrzonem miejscu.

Upłynęło może ze 20 minut, gdy daleko w lesie usłyszałem odgłosy psa polującego. Zwolna zaczęło już szarzeć na dworze i mogłem dojrzeć wieżę kościelną, majaczącą w stronie zachodniej. W tej właśnie chwili w odległości około czterdziestu kroków ukazał się pies biało-szary. Przebiegł jeszcze ze dwadzieścia kroków, wpadł na łąkę, przystanął i

oglądał się za towarzyszem, który rzeczywiście wnet wyłonił się z gęstwiny. Widocznie bardzo zadowolone, szelmy zwróciły się w stronę wsi, ale nie uszły nawet kilku kroków, gdy kula położyła kres życiu białego drapieżnika. Jego kolega chciał się jeszcze ratować ucieczką, otrzymał jednak również cały ładunek od tyłu w żebra i wkrótce wydał ostatnie tchnienie.

Przyznaję otwarcie, że nawet zabicie najkapitalniejszego kozla nie zrobiłoby mi tyle przyjemności, jak położenie trupem tych dwóch rabusiów. Rozpłatałem im brzuchy: były wprost napakowane mięsem sarniem. Oto dowód, jakie kolosalne szkody wyrządzać muszą tacy nałogowi rozbójnicy.

Na największą jednak zbrodnię, jakiej dokonał pies polujący, patrzałem w r. 1905-ym. Pewnego pięknego wieczoru majowego przechadzałem się wzdłuż po łące i przysiadłem pod starym świerkiem, zkąd mogłem wszystko widzieć bardzo dokładnie. Na lewo prowadziła ścieżka po brzegu kultur, biegnąc ku drzewostanowi buków, oddalonemu mniej więcej o 400 kroków. W miejscu tem znajdował się mały, około pięciomorgowy zagajnik bukowy. Mogła być godzina $7^1/_2$, gdy najpierw przebiegły w blizkości dwie kozy i widłak, a wnet potem dała się słyszeć żałosna skarga sarny. W pierwszej chwili sądziłem, że napadł na nią lis; schwyciłem tedy fuzję i pobiegłem, przybyłem jednak zapóźno i posłyszałem już tylko słaby, zamierający głos. Nic więcej na razie nie mogąc stwierdzić, ostrożnie zacząłem przeszukiwać miejsce, od jednego drzewa do drugiego, i w ten sposób doszedłem do zagajnika. Tu zatrzymałem się, nasłuchując z natężeniem. Usłyszałem jakieś rozdzieranie i gryzienie, nic jednak nie mogłem na razie dojrzeć Stałem już tam może ze 3 minuty, gdy w zagajniku dostrzegłem jakąś masę czarno-szarą; nie wiedząc jednak co to jest, nie chciałem strzelać i zachowywałem się wyczekująco.

Cierpliwość moja nie była wystawiona na długą próbę; wkrótce dostrzegłem zakręcony ogon dużego psa.

Złożyłem się natychmiast i posłałem kulę. Rabuś padł natychmiast, a kiedy się do niego zbliżyłem, ujrzałem obraz tak smutny, jakiego nigdy poprzednio, ani też później nie widziałem. Obok psa leżała łania, zaduszona właśnie w chwili, gdy wydawała na świat młode. Na pół pożarty koziołek leżał o jaki łokieć od matki, drugi zaś koziołek dopiero w połowie zaczął oglądać światło dzienne. Chyba mi uwierzy każdy z myśliwych, gdy powiem, że wielką sprawiła mi pociechę doraźnie dokonana zemsta.

Jeżeli psy swoją gospodarkę kłusowniczą uprawiają w rewirach, do których upodobanie mają jelenie, można być pewnym, iż w krótkim czasie po tej zwierzynie nie pozostanie nawet śladu. Jeleń raz goniony przez psy miesiącami całemi nie wraca do swego rewiru.

Niejeden pies polujący dał się wziąć na wabiki, naśladujące głos zajęczy, takie też kończyły prędko swój żywot. Wielką znów ilość psow schwyciłem w żelaza przy pomocy ścierwa zajęczego. Nawet na witerunek lisi chwytały się psy bardzo dobrze; być może, iż pomiędzy psami schwytanemi były takie, które wypadkowo i po raz pierwszy zabawiły się w kłusownictwo; niewielkie to jednak nieszczęście!

Przeważna część psów może nawet nie polowałaby, gdyby nie dawano im ku temu sposobności, i gdyby nasi chłopi nie brali ze sobą psów bez potrzeby. Podczas, gdy chłopi pracują, pies wałęsa się po lesie, a jeżeli wtedy napotka zajączka, zaczyna się z nim na swój sposób zabawiać, a tej zabawy rezultat bywa taki, że mały szarak na miejscu bywa pożarty. Odtąd kłusownik czteronożny jest gotowy, wiadomo bowiem, że dobry rezultat popycha do umiłowania pewnego fachu, czy sportu. *T.*





ODYNIEC.

Dzień krótki, grudniowy miał się ku końcowi. Jeszcze jeden ostęp zdążylibyśmy wziąć, byle prędko! — Tryba leśna tymczasem zdawała się nie mieć końca, a towarzysze, rozciągnięci długą linją, szli mozolnie, ociężali po głębokim śniegu. Zmęczeni całodziennym ruchem wyglądaliśmy niecierpliwie celu.



Nareszcie tajemniczo nerwowo łowczy pierwsze wyznaczył stanowisko, prośbą i gestem namawiając do pośpiechu. Ktoś dopiął celu, z ulgą, głęboko odetchnął i pozostał. Tamci brnęli dalej, jakby ogarnięci sennością.

Dzień się nie udał, pech prześladował, nic nie zabito, więc nadzieja i ochota znikły.

Zatrzymano mnie na dziewiątce. Lubię ją; przynosi mi szczęście; z nią jakiś czar myśliwski związany być musi.—Zmęczenie też zaraz ustąpiło, wyobraźnia zagrała nanowo.—Bo i rzeczywiście! Stałem na tropie dużego łosia. Wszedł świeżo do kniei, a trop to niemal największa pewność. Byle był jeszcze w ostępie, byle nie wyszedł!

Postawiłem sztucer i strzelbę przy drzewie; rozejrzałem się: wokoło sosny i swierki wysokie, bór stary, nie podszyty, widok daleki, tylko na lewo o jakie 40 kroków, na dawnym wyłomie, zagaj sosnowy, pół morgowy, dość gęsty, rozsiadł się po obu stronach tryby. Łoś nim nie pójdzie, będzie szedł brzegiem, lecz gdyby mu się właśnie tamtędy zachciało, będzie źle. Tryba wązka, po obu stonach nie możliwe strzelić, na niej krótko! Na trybie, na lewo, na tamtym skraju zagajnika, sąsiad. Myśliwy młody, elegancki, uzbrojony od stóp, aż po niewiem co, ma dwie magazynki i sztucer z lunetą. Trzeba go mieć na oku, a tu trudno poprawiać, bo gąszcz. Do licha, jeszcze ta luneta? Zdejmuję bekesze; trzeba mieć ruchy swobodne, bo gdyby szedł przez zagajnik, czasu wtedy zabraknie wyciągać skrępowane łopatki. Siadam, nabijam expres, i słucham.

Sąsiad mój na prawo to dobry myśliwy: siedzi na pozór spokojnie; bo ślad łosia mego również widział. Ale prawda: wiatr z kniei może uspokoić nerwy, skrócić oczekiwanie, zapaliwszy papierosa. Cmię sobie. Na prawo nie ma powodu bardzo wytężać uwagę, sam sobie da radę; nie jestem zazdrosny, a i przesmyk tam gorszy, mniej pewny. Całą uwagę trzeba skierować ku lewej stronie.

Słychać z oddali naganke, zbliża się równolegle do linji strzelców, miot jest nie wielki, więc nie ma obawy, by nadto się zciemniło. Byle łoś szedł brzegiem, a nie przez zagajnik, to i ze stołka mego, nie wstając, strzelić mogę, boć to nie ułomek. Zaszli—bo słychać głosy na skrajnem, lewem skrzydle naganki; odpoczną, ruszą dalej. Więc baczność!

Co to za dźwięk? Tam daleko, poza młodniakiem, naprzeciw pierwszych stanowisk, coś się ozwało żałośnie i znów po przerwie żali sie w miejscu. To Śpiewka, poczciwy pies, oszczekuje zapewne mego łosia. To utnie, to znowu głos daje, nasłuchuje zapewne chwilami, czy mu nie śpieszymy z pomocą: sam rady sobie nie da, nie ruszy wielkiego zwierza.

Łoś jednak zmienia zamiary, bo głos psa, odbijając się jak dzwonek stokrotnem echem po zaporach leśnych, mknie knieją w prawo, w równym od nas i od naganki odstępie. Ta ostatnia również usłyszała żałośne wezwanie psa, huknęła zgodnie i sunie mu na pomoc. Przestrzeń między nią a nami maleje, słychać to wyraźnie; i w nią wstąpiła otucha; tymczasem głos Śpiewki to dzwoni, to urywa znów, naprzeciw prawego skrzydła myśliwych. Szczeka na miejscu; widocznie zwierz zaskoczony tą niespodzianą nawałnicą głosów, jaka ztamtąd biegnie, waha się: w tę stronę właśnie zmienia jego ulubiona ścieżka; taka pewna niezawodna, którą już nieraz się wymykała, trzeba szukać innej drogi. Głos Śpiewki rozpoczyna odwrotną podróż, wzdłuż całej linii. Jadą ostro, mijając mnie i dążą w lewo. Znów stają, znowu cisza, niepewność. Pókiż tego będzie? Lecz naraz głos ruszył raptownie, dąży wprost na zagajnik, od tamtej jego strony.

Widzę błysk ruchu sąsiada na lewo, coś zoczył, sztucer z lunetą jedzie w górę, a głos prowadzi pośpiesznie w moją stronę, wreszcie niemo, bezradnie zatrzymują się na skraju gąszczu. Huku nie ma, nie przerwał ciszy, która teraz

nawet panuje w zagajniku. W sosenkach, obwieszonych puszystym śniegiem, o pół setki kroków od nas, zdala od wszelkiego podejrzenia, jest zwierz, jest na pewno, bo przez trybę nie przeszedł. Czy łoś? Chyba nie, mówi mi słuch.

Odpoczywa i sapie cieżko, słychać to wyraźnie. Nie spuczczając się z oka wzajemnie, zwierz pewnie szuka wybiegu, fortelu, lub zręcznej do napaści chwili, pies czujnie dba, by złemu zapobiedz w porę.

Świdruję gąszcz wytężonem okiem, słyszę, że tam coś jest, dojrzeć jednak nie mogę. Już dawno powstałem na nogi i naprężone w oczekiwaniu ręce ściskają broń, jednak się w nią zespoliły; żaden muskuł się nie ruszy, nie drgnie, tylko serce przyśpieszyło czynność i bije; byle go zwierz nie dosłyszał. To najpiękniejsza chwila, ta chwila przed strzałem.

Ale w sosenkach powstaje jakieś przebudzenie... jakiś ruch. Między igliwiem i nawisłym śniegiem coś błysnęło i ledwie głos psa doleciał, wyjeżdża wprost na mnie sterczący w górę ryj, dwa kły, dwa ślepia, w dole pierś. Broń opada, równa się, między nami przebiega pocisk, strzał dźwięczy sucho, odyniec zatacza koło, rozpierając nogi, jak szczudła. Najeżony Śpiewuś cofa się przezornie. Druga kula ryje na wylot przez łopatki, lecz pchany jakby refleksem raz już natężonych muskułów, rozpęd zwierza trwa dalej, jakby chciał uciec od śmierci. Pies jednym rzutem oka ogarnia położenie i z obrony przechodzi do ataku, w dwóch susach dopędza i bez ceremonji chwyta dzika za zad. Jadą oba i znikająza pagórkiem, żegnani przedtem kulą mego sąsiada z prawej strony. Na strzały ryczy naganka, na linji zaś wyciągają szyje towarzysze. Cisza zapadła i nic nie widać, każdy czuje, że w tej chwili coś się stało, czegośmy od rana wszyscy czekali. Nie widzę, lecz pewien jestem, że leży, przecież pies milczy, ciekawość mnie pożera, z trudnością panuję nad sobą, by w miejscu, ustać. Czekam...

Na fjoletowych głębiach ciemniejącego już boru migają postacie naganki, spieszą, ciekawi będą pierwsi.

Biegnę. Za pagórkiem zastaję już zbiegowisko. Towarzysze i naganiacze, wszyscy się cisną kołem; równość zupełna, ciekawość ogólna. Ja zato nic nie widzę, przeciskać się muszę przez zwarty pierścień.

Nareszcie. Na puszystem, śnieżnem posłaniu, zakopany ostatkiem śmiertelnych drgań, imponujący wielkością, leży odyniec; ma obie kule dobrze umieszczone. Śpiewka siedzi obok, ogonem kręci i skomle cicho, prosząc o patrochy, które mu się słusznie należą.

Tak zabiłem pierwszego odyńca, i do dziś dnia stoi mi dzień ten w pamięci.

U.—N... cz.



Pola dla zwierzyny.

(*Ciąg dalszy*).

Gdy sprawdziliśmy sumiennie istotne właściwości gruntu, mamy możność zadecydować, które kawałki roli przeznaczyć możemy pod pola dla zwierzyny. Pomnijny jednak, że w razie wyjątkowej potrzeby możemy prawie każdą przestrzeń do naszego celu użytkować; wybierajmy jednak tę, która pociągnie najmniej kosztów i nakładu pracy. Podobny pogląd rzeczy powinniśmy mieć i przy wyborze łąk. Jeśli możemy, korzystniej jest wybierać nieco z natury już suchszy grunt, aniżeli zbytnio mokry, gdyż pierwszemu możemy sztucznie dopomódz, gdy przeciwnie, wobec drugiego częstokroć jesteśmy bezsilni.

Grunt z natury zbytnio mokry trudno jest do odpowiedniej normy osuszyć, co nie pozwala na wczesną obróbkę wiosną, podczas zaś przepadzistego lata i bezmroźnej zimy, nawet przejście przez taką rolę staje się wręcz niemożliwe. Zwierzyna zaś przy żerowaniu,

zapadając się głęboko, wtłacza zasiewy w glebę i tem je niszczy.

Na tęgich, iłowatych gruntach, jak długoletnia praktyka wskazuje, rogata zwierzyna zawcześnie psuje sobie zęby, a podczas dżdżystego lata, lub mokrej, bezmroźnej, przez dłuższy przeciąg czasu trwającej zimy nie może znaleźć na odrażających, mazistych, gliniastych gruntach czystego pożywienia.

Na takich polach błąka się w pojedynkę szukając naokoło pędów lub listków; bowiem mokre, ostre, jak osełka działające cząstki ziemi sprawiają zwierzynie przykrość; natrafiwszy znów na trujące substancje, które często znajdują się oblepione ziemią na listkach, narażona jest na różne choroby żołądkowe, a czasem i na otrucie.

O wiele lepiej wygląda zwierzyna, gdy wesoło i pożądliwie żre, oskubując całkowite kępki roślin i kulkami je przetrawia. Całe zachowanie się żerującego stada wskazuje dobitnie jak korzystnie oddziaływa suchość gruntu ze zdrową i posilną strawą. Na zatrzymającym wodę, gliniastym gruncie, często już w styczniu nie widzimy nic z zasiewów żyta, koniczyny i roślin oleistych.



Grunta pulchne, lekkie, przepuszczalne są pod każdym względem na pola dla zwierzyny daleko odpowiedniejsze, aniżeli grunta tęgie i ścisłe. Pierwsze bowiem zaoszczędzają wiele czasu, pieniędzy, narzędzi na ich obrabianie i są w każdej porze roku, bez względu na pogodę, możliwe do żerowania. Nawet zupełnie lekką rolę można łatwiej przy pomocy odpowiedniej uprawy i gnojenia doprowadzić do najwyzszej wydajności, aniżeli drętwą, zimną, mokrą glinę; najlepsze bowiem i gęste zdrenowanie i żaden nawóz nie uczyni ją ciepłą. Kto takie grunta widział w czasie kilku lub więcej mokrych, po sobie następujących lat, temu zapewne w myśli nie powstanie wybór podobnej roli na pola dla zwierzyny.

Ponieważ ogólnie grunta gliniaste uważamy jako najlepsze grunta pszenne, zatem przy wyborze roli o powyższym składzie główną uwagę zwrócić musimy na jej podgrunt, aż do odpowiedniej głębokości. Często się zdarza, że mokre, gliniaste pola w czasie największej potrzeby, z powodu zabagnienia gruntu, mamy dla zwierzyny zamknięte, gdyż stały się absolutnie niemożliwe do przebycia.

Przeciw zbytniemu wysychaniu gruntów piaszczystych teraźniejsza wysoka kultura rolna daje nam dużo skutecznych środków; przeciw zaś wymaganiu roślin w czasie długotrwałej dżdżystej pory żadnych odpowiednich, środków nie mamy, W skutek tego winiśmy zostawić tęgim, gliniastym gruntom ich dęby, buki, jesiony, a pod pola dla zwierzyny szukajmy roli więcej pulchnej, przepuszczalnej i dającej się łatwo obrabiać.

Chcąc nie mieć sobie nic do wyrzucenia, powinniśmy na gruntach, które mamy wyznaczyć do naszego celu, sprawdzić ich skład i własności przynajmniej do 2 metrowej głębokości za pomocą świdra, w razie zaś koniecznym użyć i szpadla do pomocy

Przy wierceniu lub kopaniu gruntu dokładnie będziemy wiedzieli na jakiej głębokości znajduje się margiel, co zaś się tyczy jego dobroci, to polewamy go kwasem siarczanym, lub w ostateczności mocnym dobrym octem. Im większa będzie burzliwość syczącego i burzącego się marglu, tem jest lepiej; kolor jego w zasadzie nie jest żadnym pewnikiem składu. Dobry margiel rozpada się prędko na delikatne płatki i kostki. Jeżeli zawiera dużą ilość gliny, możemy go użyć na grunta piaszczyste, lekki zaś i mokry grunt gliniasty wymaga wieloprocentowego marglu.

Ważną jest również rzeczą zwracanie uwagi, jaką grubością ziemi pokład marglu jest przykryty, następnie na dobroć tejże warstwy i czy do ulepszenia łąk i pól będzie odpowiednią; czy możemy danym materjałem ulepszyć glebę w celu otrzymania możliwie równej roli, i nakoniec musimy sprawdzić grubość pokładu marglu.

Wydobyty margiel składać należy na kupy, które łatwo będzie w przyszłości na wskazane miejsca rozwieźć, małoproceotowy zaś produkt trzeba zwozić na najblisze wały kompostowe, lub też odrazu rozkładać na znajdujące się w pobliżu, dogodnie położone pola i łąki.

(C. d. n.).

Polowanie na lisy.

Ogólne mniemanie daje lisowi pośród zwierząt palmę pierwszeństwa co do chytrości i sprytu i dziś jeszcze mówimy o człowieku przebiegłym, że jest chytry jak lis. Jednak życie zwierząt dowodzi, że są między niemi rodzaje o wiele sprytniejsze i przebieglejsze od lisa. Weźmy na przykład dziką gęś, której domowa krewniaczka uchodzi za synonim głupoty. Znana jest myśliwym z przebiegłości, gdy o skórę chodzi, wiemy, jak potrafi się wymknąć i uniknąć grożącego niebezpieczeństwa.

Lis niewątpliwie jest obdarzony nader wybitnemi zmysłami i wysoką inteligencją, gdyż inaczej, jako drapieżnik, nie mógłby egzystować; potrafi zręcznie unikać zasadzek i zdrad grożących bądź strzelbą, bądź krzykami, a nawet i trucizną, najprzebieglejszym z przebiegłych nie jest jednak wcale. Jego przebiegłość ma coś szablonowego, znając ją, oraz posiadając dokładną znajomość rewiru, w którym przebywa, o wiele łatwiej możemy dać sobie z nim radę, aniżeli np. ze starym kozłem, dzikiem lub rysiem.

Śmiem twierdzić nawet więcej.

O ile będę znał rewir dokładnie i będę miał pod ręką sznury z chorągiewkami, o ile będę miał i doświadczonych naganiaczy, podejmuję się każdego lisa napędzić na oznaczonego strzelca, czego np. ze starym szarakiem często zrobić nie będę w stanie. Stary zając jest nieobliczalny i nie da się skierować ku oznaczonemu miejscu. Tymczasem lis, o ile użyjemy odpowiednich sposobów, prawie zawsze wypełni mimo swej woli nasze plany.

Z każdego gąszcza prowadzi zwykle jedna tylko ścieżka, którą lis zwykł wychodzić. Jeżeli naganką umiejętnie pokierujemy i postawimy koło tej ścieżki dobrego strzelca, wówczas niewątpliwie lis śmiercią opłaci stare swe grzechy. Przyczem godne jest zauważenia, iż gdy z biegiem czasu w tym samym gąszczu znajdzie się nawet dziesięciu jego następców, wszyscy kończą swój żywot zupełnie w ten sam sposób i w temże co i lis pierwszy miejscu, o ile umiejętnie sprawą pokierujemy. Tego nie możemy twierdzić o żadnym innym gatunku zwierzyny z taką pewnością i w tem właśnie tkwi prędzej dowód trzymania się stałego szablonu i braku pomysłowości.

Lisie przesmyki zbadać jest łatwo. Przy odpowiedniej pogodzie, gdy można się spodziewać, iż lis znajduje się po za norą, łatwo urządzić na niego polowanie, z pomyślnym zazwyczaj rezultatem. Myśliwy staje w pomyślnym wietrze, kilku naganiaczy przechodzi gąszcz bez zbytecznego hałasu, a napewno po krótkim czasie lis wymykać się będzie pod strzał swą zwykłą ścieżyną. Nie trzeba jednak zapominać, iż chodzi tu bądź co bądź o przebiegłego, często prześladowanego, a zatem na ostrożności się mającego zwierza.

Lis, chociażby nawet czuł się bezpieczny, czuwa nad swemi wszystkiemi zmysłami. Najmniejsze trzaśnięcie gałązki pod nogą, nie w porę zrobione poruszenie ostrzega go natychmiast o grożącem niebezpieczeństwie i wówczas zwraca się jak błyskawica, gdy się chybi, co i najwprawniejszemu strzelcowi może się przytrafić, wówczas bez specjalnych środków przymusowych nie da się już w to samo miejsce napędzić.

Temi środkami przymusowemi są właśnie sznury z chorągiewkami, dla lisa iście piekielny wynalazek, i ich właśnie zastosowanie stawia w dwuznacznem świetle jego zmyślność i przebiegłość.

Do mocnego sznura przymocowywa się w odstępach 70—80 cm. różnokolorowe płatki z jakiejkolwiek materji, lub skrzydła z gęsi domowych rozmaicie ubarwione. Tym przyrządem okalamy gąszcz, w którym lis się znajduje, na wysokości jego głowy, bacząc by dobrze był widoczny, tak, iżby lis przy opuszczeniu gąszcza musiał go bezwarunkowo zauważyć. Dlatego nie należy umieszczać sznura tuż przy brzegu gąszczu, lecz w oddaleniu kilku metrów. Chorągiewek można używać w każdej porze roku, lecz najpewniejsze jest ich zastosowanie przy ponowie, gdyż wtedy lis z predylekcją przebywa w gąszczach i łatwo z zupełną pewnością bytność jego stwierdzić. Szybko i bez hałasu gąszcz sznurami się otacza, pozostawiając przerwy tylko na stanowiskach strzelców, 60 — 70 kroków szerokie.

O ile polowanie urządza się na jednego strzelca, należy chorągiewki umieścić w formie lejka, u wylotu którego staje myśliwy, najlepiej wśród wysokiego drzewostanu.

Ażeby zupełnie pewnie móc działać, należy zaraz po okrążeniu chorągiewkami pozatykać wszelkie wyloty nor, by lis nie szukał w nich ocalenia. Po ukończeniu przygotowań rusza naganka, możliwie gęsto ustawiona, z grzechotkami powoli i niewiele czasu potrzeba na wypłoszenie lisa. O ile lis zauważy myśliwego, lub zostanie spudłowany, nawraca i stara się przedostać przez linię naganki, nigdy zaś prawie nie odważy się zbliżyć do chorągiewek, które napełniają go panicznym strachem.

Tem się różni właśnie na swoją niekorzyść od zwierzęcej braci. Kozioł przesadza chorągiewki we wspaniałym biegu, dziki mało sobie z nich robią, zając zaś woli pod niemi się przemknąć, aniżeli kierować ucieczkę w stronę podejrzaną. Lis zaś bezradnie wśród sznurów biega, padając w ten sposób ofiarą podstępu.

Absolutna pewność wyniku przy troskliwem zarządzeniu osłabia coprawda powab tego rodzaju polowania na lisy, dostarcza jednak niekiedy zajmujących i humorystycznych epizodów. Na pewnem polowaniu zaraz po ruszeniu naganki wyszedł na mnie lis i gdy chciałem strzelić, zauważyłem o trzydziesci kroków poza nim drugiego. Szybkim strzałem położyłem pierwszego, drugi jednak umknął tak niefortunnie, iż strzelić nie mogłem. Dwukrotne powtórzenie pędzenia pozostało bez rezultatu, chociaż, obszedłszy linię chorągiewek, przekonaliśmy się, że nie wyszedł. Wówczas przypomniałem sobie o starym, wypróchniałym pniu. I miałem rację: lis w nim szukał ocalenia. Pień stał na małej polance, otoczonej gęstym młodniakiem sosnowym i strzał był w jednym tylko kierunku możliwy. Kazałem nagance stanąć w ściśniętym szeregu, by lis nie umknął w gąszcz, jeden zaś z ludzi wlazł na pień i długą tyką miał zmusić lisa do opuszczenia schroniska. Lecz tym razem okazał się lis chytrzejszym odemnie. Zamiast wyjść dołem, ukazał się niespodzianie u góry i rzucił się na naganiacza, który przestraszony, spadł; w tejże chwili mój lis skoczył na głowę jednemu z otaczających pień ludzi, potem na ziemię i znikł w gęstwinie, by ją pędem opuścić, nie zwracając już uwagi na chorągiewki.

Wt. K.



Najlepszy sposób chwytania bażantów przy dzikiej hodowli.

Na podstawie własnych doświadczeń podaje poniżej czytelnikom najprostsze sposoby nietylko chwytania bażantów, ale i przezimowania schwytanych. Sądzę, że uwagi niniejsze przynieść mogą pożytek.

Chcąc łapać bażanty, trzeba już wczesną jesienią rozsypywać pokarm, ażeby ptaki przyzwyczaić do miejsc, które wybraliśmy do chwytania. O ile w każdym innym razie wysiewki mogą być doskonałe, to przecież być ich nie powinno we właściwej porze chwytania. Najlepszym sprzymierzeńcem łowiącego jest zima, ze swoim śniegiem i lodem. Miejsca do chwytania trzeba zakładać tam, gdzie bażanty chętnie przebywają i gdzie znajdują ochronę przed zmienną pogodą. Teren obrany powinien być, o ile możności poziomy, o wielkości 4-ch metrów kwadratowych = 2 : 2 m. Automatyczny przyrząd do łapania bażantów składa się z prostokąta o mniej więcej 1,30 m. długości, 1 m. szerokości i 35—40 cm. wysokości. Całość ma podobieństwo do klatki na ptaki i, z wyjątkiem kilkunastu gwoździ drucianych, zrobiona jest z drzewa tak nie skomplikowanie, że każdy może sobie taką klatkę wybudować i nią się posługiwać (Fig 1). Oddzielne części stanowią: 4 pokłady, których szeroki brzeg spoczywa na ziemi, odpowiednia ilość szczebli; cztery ramy górne, co do wielkości równe pokładom, dwoje drzwi zawieszonych u góry i otwierających się tylko na wewnątrz, cztery pręty podtrzymujące całość w czterech rogach, i wreszcie płótno workowate, pokrywające część górną. Podłogi przyrząd nie posiada. Miary podałem takie, jakich sam używam, mogą one jednak być odpowiednio zmieniane.

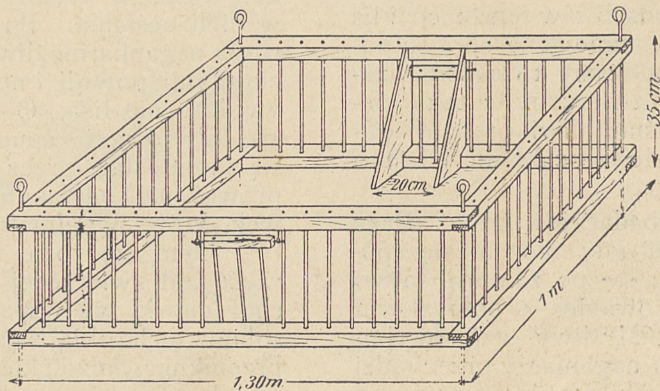
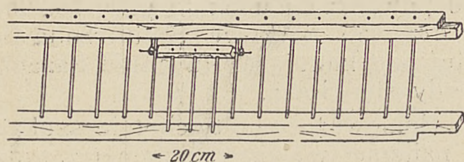


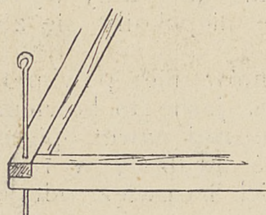
Fig 1.

Ramy mogą być wyrobione ze zwyczajnych łat, albo też z rozszczepionych kręglaków odpowiedniej grubości. Na czterech rogach związuje się drzewo w sposób ogólnie znany, na paliki użyć można leszczyny, lub innego drzewa, byle było proste i nie pozbawione kory. Odległość jednego palika od drugiego ma być taka, aby się dwa palce mękkiej ręki mogly wygodnie pomieścić. Stosownie

do grubości palików trzeba wywiercić dziury; gdy np. średnica palika wynosi 2 cm., oddalenie 4 cm., to wtedy 2 + 4 cm. = 6 cm. Paliki na rogach umacniamy przy pomocy gwoździ drucianych, ażeby ramy mogły się utrzymać w odpowiedniem położeniu. Na rogach nie zakładamy już palików, lecz cztery pręty z drutu o grubości 4 m. m. i długości 50 cm. na dole zaostrzone, a u góry zaopatrzone w uszko, mające około 3 cm. średnicy (Fig. 2).

Fig. 3.





Eig. 2.

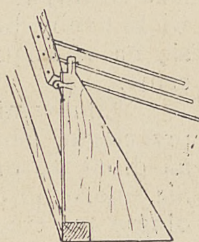


Fig. 4.

Pręty te wchodzą 15 cm. w ziemię i tym sposobem całemu przyrządowi zapewniają silne oparcie, służąc równocześnie do połączenia pojedyńczych części z całością. Po wyjęciu tych czterech prętów można cały przyrząd do chwytania rozłożyć i przenieść na inne miejsce. Drzwi umieszczamy pośrodku obu stron, posiadających długość 1,30 m.; powinny zaś one być 20 cm. szerokie i tutaj nie potrzeba wiercić żadnych dziur. Rama dla drzwi ma około 4 cm. średnicy i musi być wykonana z suchego, o ile możności twardego drzewa. W tej ramie wiercimy trzy dziury na założenie szczebli; trzy gwoździe i kliny przytrzymują te specjalnie obrobione szczeble, które powinny być tak długie, ażeby po stronie wewnętrznej dotykały ramy, ale w nią nie wchodziły; na dole nie są te szczeble niczem z sobą połączone (Fig. 3). Sposób umocowania drzwi jest nadzwyczaj prosty. W odpowiedniej odległości (około 22 cm.) na dolnym brzegu drzewa górnego zakłada się po dwie śruby z uszkami tak, ażeby o ile możności wystawały na zewnątrz; belki drzwi otrzymują po boku po jednym gwoździu drucianym, które to gwoździe wkłada się w uszka i podczas, gdy drzwi po jednej stronie są zawieszone, belkę trzyma się horyzontalnie pomiędzy uszkami i w ten sam sposób zakłada się drugi drut. Górna część drzwi znajduje się na zewnątrz, dolna zaś na wewnątrz (Fig. 3), wskutek czego muszą się one stanowczo zamykać i nie mogą podnosić się za podmuchem wiatru. Ażeby jednak schwytane bażanty nie mogły z wewnątrz drzwi podnieść i uciec, każde drzwi otrzymują jeszcze deski zabezpieczające (Fig. 4). Deski te przymocowuje się z wewnątrz stosownie do otworu drzwi, idą zaś one skośnie, podczas gdy szerokość u dołu powinna wynosić 20 — 25 cm. Wszystkie te części, które posiadają zbyt świeży wygląd, powinno się gruntownie natrzeć ziemią, chociaż można również użyć tutaj ciemnej farby olejnej.

Nigdy nie powinno się używać do górnego zamknięcia siatki drucianej. Jest to bowiem okrucieństwo męczyć w ten sposób wyrywające się ku górze stworzenia, gdyż pióra, a nawet całe części głowy przyklejają się do plecionki drucianej. Niestety! często oglądałem takie urządzenia i starałem się zawsze je zamienić. Część górna powinna być przykryta zaciągniętem starem płótnem od worków, jednakże należy rozpruć szwy. Płótno przyszywa się do prętów tak, ażeby zawsze było silnie napięte. W równych odstępach przyszywa się do płótna taśmy, ażeby można przywiązać płótno do górnej ramy (Fig. 5) i wtedy mamy już cały przyrząd automatyczny do chwytania bażantów gotowy.

Przedewszystkiem należy zaznajomić bażanty z tem całem urządzeniem i w tym celu otwieramy drzwi, rozsypując w koło, jak również w wnętrzu klatki regularnie o pewnej porze pokarm. Jeżeli chcemy, ażeby drzwi były wysoko założone i otwarte, to w płótnie u góry robimy małe nacięcie, w które wkładamy szczebel środkowy. W ten sposób drzwi nigdy nie mogą zapaść się w dół, a jeżeli to się zdarza i bażanty przez pewien czas pozbawione są wolności, to powodu szukać należy w tem, że kliny u drzwi wskutek zmiany powietrza zmieniły formę i spowodowały skurczenie się szczebli. Wogóle należy od czasu do czasu obejrzeć cały przyrząd, nawet wtedy, gdy drzwi są podniesione.

Nastawiwszy już cały przyrząd, i przyzwyczaiwszy bażanty do wchodzenia do wnę-

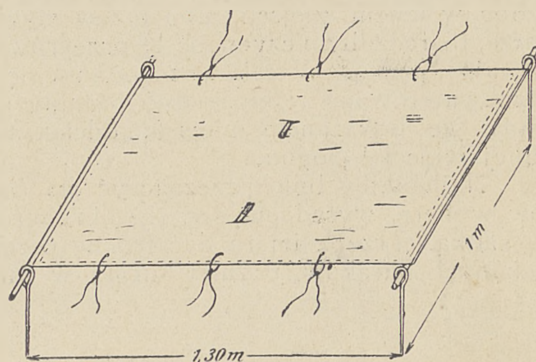


Fig. 5.

trza, podejmujemy co wieczór dokładną rewizję. Z chwilą, gdy choćby nawet najostrożniej zbliżymy się do pułapki, zawsze bażanty będą się cisnęły do przeciwległej ściany. Wtedy za pomocą deski, którą umyślnie w tym celu przygotowujemy i którą wkładamy pomiędzy szczeblami do środka, dzielimy, stosownie do potrzeby, całość na dwie, albo trzy

przegrody. Jeżeli bażantów schwytało się dużo, to przegrodę trzeba zrobić większą.

Teraz główne zadanie polega na wydobyciu bażantów z pułapki, przyczem, co do mnie, postępuję w ten sposób:

Kładę się na ziemi i podnoszę za pomocą małego ciśnienia drzwi w górę, a kiedy już są mocno otwarte, rozpoczynam chwytanie: łapię ptaka odrazu za obie nogi i bardzo ostrożnie wydobywam z klatki. Obok siebie kładę worek z zaokrąglonemi rogami i z kilku tasiemkami przyszytemi na podłuż; w ten worek pakuję bażanty i postępuję podobnie, póki się cała klatka nie opróżni. Wówczas wyjmuje się deskę, na zewnątrz i wewnątrz posypuje pokarm, drzwi zamykam, ażeby nazajutrz powtórzyć znów tę samę czynność. Dobre, sprawne funkcjonowanie drzwi, jest rzeczą nieodzowną.

Więcej, aniżeli 10 bażantów nie powinno się w worku przenosić, przy samem zaś przenoszeniu zwracać należy uwagę na to, ażeby wszystkie sztuki siedziały obok siebie w jednym rzędzie. Chcąc worek utrzymać poziomo, przywiązujemy do niego węzełek i posługujemy się przyszytemi tasiemkami. Zaokrąglenie rogów ma na celu zapobieganie dostania się bażantów głową do narożnika, gdyż mogłyby ucierpieć wskutek tego. Cienki, przewiewny worek najlepszy jest do przenoszenia ptaków.

Przejdziemy obecnie do przezimowania bażantów, o której to kwestji wogóle piszę niechętnie. Ponieważ jednak sama rzecz jest ważna, a hodowcy grzeszą bardzo wiele pod tym względem, przeto pomówimy o zimowaniu.

Właściwie nie widzę żadnej dobrej racji, dlaczego bażanty nie miałyby zimować na wolności? Jeżeli chodzi o sprzedanie ptaków, to najlepiej zapakować je odrazu po schwytaniu do kosza i odwieźć na najbliższą stację kolejową. Jeżeli zaś bażanty mają być wysadzone w innem miejscu, albo też w innym rewirze, to radziłbym czynność tę przeprowadzić jaknajśpieszniej. W celu przekonania się, czy przekwaterowane w ten sposób bażanty pozostaną we wskazanem miejscu, odcina się im mniej więcej $^1/_3$ ogona.

Najlepiejby było przeznaczyć dla bażantów wolierę, wysadzoną świerkami i zagrodzoną siatką. Trzeba im tu dać trochę pszenicy, siekanych buraków, później buraki w całości, z niewielkiem dodatkiem kukurydzy, gruboziarnistego piasku, gruzu z murów, a przedewszystkiem muszą mieć suche miejsce do wychowu i świeżą wodę; z nastaniem zimna dawać im zamiast buraków jarmuż i kapustę olbrzymią; bulwy topinamburu i helianthusa spożywają także bardzo chętnie.

Tam, gdzie niema odpowiedniej woliery, trzeba poprzestać na komorze, albo raczej kurniku. To, cośmy powiedzieli o wolierze, dotyczy również stajence, dodać tylko należy, że zawsze trzeba pamiętać o zapewnieniu świeżego powietrza i naokoło przy ścianach ustawić drzewa świerkowe Sufit trzeba przyćmić, ażeby podskakujące ku górze bażanty nie uderzały się głową.

Ponieważ bażanty chętnie szukają pokrycia, najlepiej wewnątrz stajenki zasadzić kilka nizkich świerków, okno zaś zawiesić czemkolwiek, ażeby bażanty nie usiłowały wydostać się na zewnątrz i nie niepokoiły się zbytecznie.

Zimowanie bażantów nie powinno się przeciągać zbyt długo, jasne to bowiem jak na dłoni, że przy najlepszej nawet opiece nic nie może im zastąpić swobody w rewirze; długie też trzymanie ich na uwięzi odbija się na nośności kur.

Jak widać z powyższego, wszystko można przeprowadzić niewielkim kosztem, automatyczny zaś przyrząd do chwytania bażantów przedstawia najprostszy sposób i wprowadza najmniej niepokoju do rewiru. Tego rodzaju przyrząd nadaje się równie dobrze do chwytania kuropatw. Mnie samemu zdarzało się nieraz schwycić w ten sposób sporo kuropatw, a ponieważ przytrafić się to może każdemu, przeto radzę wychwytać pewną ilość, albo nawet wszystkie koguty, gdyż jak wiadomo, rodzaj męzki przeważa wśród tego ptactwa. Do odświeżenia krwi kuropatw we własnym rewirze trzeba się postarać, o ile je można nabyć, o świeże kury z obcych rewirów i te połączyć z nadliczbowemi kogutami.

Kto rozporządza zdrowym zwierzostanem, ten uczyni dobrze, gdy przez chwytanie bażantów dopomaga do odświeżenia krwi we wszystkich rewirach.

Nie potrzeba się wcale obawiać, ażeby z napływem nowej zwierzyny napłynęły także jakiekolwiek choroby.

H. B.



Strzelanie wiosenne „Tir aux pigeons".

Amatorzy strzelania do gołębi mają w tym roku dzięki Warszawskiemu Kołu Sportowemu wyjątkową sposobność do użycia w pełni tej szlachetnej rozrywki, program bowiem tegoroczny zawiera taką obfitość dni i taką ilość okazałych nagród, że warto się pokusić o sprobowanie szczęścia. Stand „Tir aux pigeons" przy ulicy Czerniakowskiej zajęty będzie przez 22 dni, strzelania zaś do gołębi rozpoczną się dnia 26 maja, a zakończą dopiero w dniu 22-m czerwca r. b Jeżeli do tego dodamy, że najniższa nagroda wynosi 100 rubli, i że oprócz tego rozegrana będzie przedewszystkiem nagroda im. Stanisława Lilpopa w sumie 1000 rb., to chyba się nie omylimy twierdząc, że Stand powinien by być przez cały ciąg w oblężeniu.



Wogóle sport ten znajduje u nas coraz więcej zwoleników, liczba ich jednak jest jeszcze zamała, chociaż rośnie z roku na rok. Trzeba oddać sprawiedliwość Warszawskiemu Kołu Sportowemu, że wzorując się na Standach zagranicznych stara się o urozmaicenie tych zabaw sportowych i tym sposobem przyciąga na ulicę Czerniakowską coraz większą ilość sportsmenów. Tegoroczny sezon wiosenny zapowiada się też jaknajlepiej i z pewnością cieszyć się będzie powodzeniem.

Jakkolwiek szczegółowy program jeszcze nie został wydrukowany, możemy już dzisiaj podać do wiadomości, w jakim porządku odbywać się będą strzelania i jak rozdzielone zostały nagrody, a więc:

26 Maja, Poniedziałek, Nagroda Standu Rb. 100.

27 Maja, Wtorek, Nagroda Standu Rb. 100.

30 Maja, Piątek, Nagroda Standu Rb. 200.

2 Czerwca, Poniedziałek. Nagroda Klubu Myśliwskiego

4 i 5 Czerwca, Środa i Czwartek: Championat, 25 gołębi, Rb. 225 i medal złoty.

6 i 7 Czerwca, Piątek i Sobota: Nagroda im. Stanisława Lilpopa Rb. 1,000.

I — Rb. 1,000: II i III — 40 i 20% stawek.

8 Czerwca, Niedziela, Nagroda JW. Maurycego hr. Zamoyskiego Rb. 200.

8 Czerwca, Niedziela. Nagroda „Wisły" Rb. 100.

9 Czerwca, Poniedziałek, Nagroda Standu Rb 300.

11 Czerwca, Środa Nagroda Warszawskiego Odziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myśliwstwa Rubli 100.

12 Czerwca, Czwartek, Nagroda Sportsmanów.

13 Czerwca, Piątek. Nagroda Warszawskiej Spółki Myśliwskiej Rb. 100.

14 Czerwca, Sobota, Nagroda Świętego Huberta Rb. 200.

15 Czerwca, Niedziela, Nagroda Standu Rb. 200.

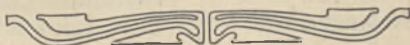
17 Czerwca, Wtorek, Nagroda Standu Rb. 100.

18 Czerwca, Środa, Nagroda Standu Rb. 100.

19 Czerwca, Czwartek, Nagroda Sportsmanów.

21 Czerwca, Sobota, Nagroda Moskiewskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myśliwstwa Rb. 200.

22 Czerwca, Niedziela, Nagroda Standu Rb. 200.



LUŹNE UWAGI.

Spostrzeżenia z obecnej wiosny.

1) W roku zeszłym zasiałem na wiosnę w rozsadniku 12 funtów nasienia sosny miejscowego zbioru i obok w tem samem ogrodzeniu na takiej samej ziemi i uprawie gruntu także 12 funtów sosny zwyczajnej, sprowadzonej od Steinera z dolnej Austrji. Z obu nasion siewki wzrosły znakomicie i dosyć gęsto, bo nasienie było wyborowe, krajowe z 85% procentem wschodzenia, a Steinerowskie 90%; wysokość strzałek doszła do 3 cali.

Tymczasem, gdy przystąpiłem na wiosnę bieżącą do sadzenia, okazało się, że u siewek z nasienia Steinerowskiego czubki, w których są zawiązki wierzchołkowych pędów, zmarzły, dostały koloru najpierw brunatnego, potem żółtego i zmartwiały. Powtarzam, zmarzły same czubki z zawiązkiem pączka, a wszystkie niższe igły i dolna dwucalowa część strzalek pozostały zielone i gdy przyszły dni cieplejsze, boczne pączki gałązkowe zaczęły grubieć i rozwijać się. Dodaję jeszcze, że zmarzły jednak nie wszystkie siewki, tylko wyższe, a te, które słabiej wyrosły i w gęstem zwarciu będąc były zasłonięte wyższemi, pozostały nieuszkodzone. Uszkodzonych było około połowy. Siewki z nasienia krajowego pozostały wcale nieuszkodzone. Rozumie się, że nie ryzykowałem już przesadzać siewki nadmarznięte, tylko dla wypróbowania posadziłem kilkadziesiąt sztuk na osobnej grządce, aby sprawdzić, co z nich wyrośnie. Widocznie bezśnieżna zima i suche mrozy, przeplatane kilka razy odwilżą, wpłynęły niekorzystnie na siewki z nasion cieplejszego klimatu.

2) Szanowny Kolega Godlewski znajdzie prawdopodobne rozwiązanie zagadnienia, podanego do wiadomości w Luźnych Uwagach Nr. 7 Gazety Leśnej i Myśliwskiej o osutce, która dotknęła u niego trzyletnią sosnę zasianą w bruzdy, a nie dotknęła wcale jednocześnie i obok zasianej sosny na wierzch skib wyrzuconych z bruzdy; mianowicie znajdzie w moim Katechizmie polskiego leśnictwa (zawartym w Kalendarzu Łączkowskiego za 1913 r.) pod N. 12. Powiedzano tam: „miejsce dla rozsadnika sosny powinno być odkryte, to jest niezacienione drzewami i ogrodzone płotem tak rzadkim, żeby przez jego żerdki mogły przechodzić wiatry i spędzać wiosenne mroźne mgły, które zmrażają igły jodeł i sosen, wywołując w tych ostatnich osutkę".

Okazuje się, że już sama zasłona skib sterczących nad bruzdą nie była dostateczną, aby zatrzymać dłużej mroźną mgłę w samych bruzdach i spowodować uszkodzenie sosenek. Z tej samy przyczyny niknęły uszkodzenia sadzonki w życie, gdyż żyto tworzyło powierzchnię, po której spływały mroźne wiosenne mgły.

W. Olszowski.

O helianthus salsifis.

Niemiecka Gazetą „D. Landw. Presse" podaje następujące wiadomości o Helianti (Helianthus macrophyllus albo H. salsifis):

„Wielkie nadzieje, przywiązywane do tej rośliny, nie sprawdzą się, jak się zdaje. Próby, wykonane na Węgrzech, wykazały, że Helianthi ma mniejszą wartość od bulwy, do której zresztą jest bardzo podobny.

W Magyarovár posadzono obok siebie bulwę i helianti, którego połowa nie wzeszła. Obie rośliny wyrosły bardzo bujnie, ale bulwa dała cztery razy większy plon, niż helianti.

Podobne wyniki otrzymało kilku rolników węgierskich, którzy robili próby z obu roślinami.

Węgierska doświadczalna stacja gorzelnicza w Gödöllö zajmowała się zbadaniem wartości gorzelniczej tej rośliny.

Helianti okazało się bardziej wymagającem co do uprawy i nawożenia od bulwy, bardziej wyczerpywało ziemię.

Na słabej ziemi, bez obróbki, bulwa w każdym razie dawała większy plon, niż helianti.

Co do swego składu, helianti ma większą wartość gorzelniczą od bulwy i ziemniaków, gdyż wywar daje szczególnie pożywny. Plon kłębów helianti nie jest zadawalający. Czy ta roślina będzie miała wartość gospodarską i przemysłową, nie da się jeszcze powiedzieć.

Dotychczasowe wyniki nie upoważniają do wielkich nadziei.

Przeciwnie, pewien rolnik niemiecki, nie przecząc dużym wymaganiom i małej plenności, zwraca uwagę, że bulwy tej rośliny zawierają 20% inulinu, z którego wyrabia się drogą „lewulozę", czyli rodzaj cukru, używanego dla niemowląt i chorych na cukrzycę (dyabetyków). Wszakże fabryki dotąd nie są urządzone na wyrób lewulozy z helianti."

Tyle podaje nam wiadomości o helianti gazeta niemiecka, ja ze swej strony chcę się podzielić z Szan. czytelnikami „Gazety" własnemi spostrzeżeniami nad helianti, a mianowicie:

Wiosną roku zeszłego sprowadziłem na Wołyń kilkaset sztuk kłączy helianti i posadziłem na czarnoziemiu w miejscu otwartem i słonecznem.

Jednocześnie posadziłem taką samą ilość zwykłej bulwy Helianthus tuberosus. Obie rośliny wyrosły w ciągu lata do jednakowej wysokości (jakieś dwa metry).

Helianti odznaczało się tylko ciemniejszym kolorem liści i formą ich więcej wydłużoną. Poza tem żadnej różnicy pomiędzy temi roślinami „na oko" dostrzedz nie mogłem.

Jako więc rośliny dla ludzi, to Helianti i

bulwa mają zupełnie jednakowe znacznie i obie są bardzo dobre i polecenia godne, a jako rośliny pokarmowe, to widocznie zwierzyna nie stawia ich na pierwszem miejscu, bo całe łodygi z liśćmi pozostały w ciągu zimy przez zwierzynę nietknięte; co zresztą można w części przypisywać łagodnej i mało śnieżnej zimie tegorocznej, choć obok posadzone, inne rośliny, jak: kapusta pastewna, jarmuż, żarnowiec i Cytilus, były objedzone do szczętu, no, ale te rośliny służą za przysmaki zwierzynie.

W tym roku posadziłem większą ilość helianti i bulwy i mam zamiar wcześnie kosić i suszyć na siano, aby się przekonać, jak np. sarny zimą będą to jadły.

Choć plon kłębów helianti jest mniejszy niż bulwy, ale, jak widać z doświadczeń na Węgrzech wyżej przytoczonych, kłęby helianti zawierają więcej części pożywnych, a więc np. w lasach, gdzie jest dużo dzików, tam stanowczo będzie lepiej hodować helianti, niż bulwę. Tylko poletka te ogradzać trzeba do czasu.

Co do pożywności kłębów helianti i bulwy, to np. biorąc analogicznie, zachodzi taka różnica, jak między burakami półcukrowemi Vilmorina a Ekendorfskiemi i choć te ostatnie dają z morga większy plon na wagę, ale zato mniej paszy.

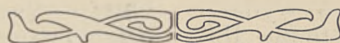
Jako rośliny specjalnie dla remiz, tak helianti, jak i bulwa są wprost niezastąpione, bo już w pierwszym roku po posadzeniu dają znakomite schronisko dla zwierzyny.

Nie nadają się tylko na remizy tymczasowe w polach, t. j. jak je Niemcy nazywają latające remizy (Fliegende Remisen), bo helianti lub bulwa, raz posadzone na tem miejscu już potem są trudne do wyplenienia, bo nawet z pozostawionego w ziemi najmniejszego kawałka kłęba odnawia się.

Powinien wogóle każdy hodowca zwierzyny sprowadzić sobie helianti i zrobić z nim doświadczenia różne, a wtedy, za lat parę, będziemy mogli już napewno mówić o użyteczności helianti.

Woysym.

28 Marca 1913 r.



„Leśnikowi Polskiemu" słów kilka odpowiedzi.

Pomimo, że organ Wydziału Leśnego zarzekał się wielokrotnie w sposób nadzwyczaj stanowczy, że pismem naszem zajmować się nie będzie, w poszycie za marzec r. b. aż dwukrotnie napadł „Leśnik Polski" na naszą „Gazetę", a napadł po swojemu, t. j brutalnie, arogancko, bezsensownie i wskutek tego zdumiewająco, po dziecinnemu śmiesznie. Doprawdy podziwiać trzeba, że pod taką jałową i płytką zaczepką, zatytułowaną skromnie „Pobieżne uwagi o Gazecie Leśnej i Myśliwskiej" odważył się podpisać pełnem imieniem i nazwiskiem p. Lucyan Małkowski. Ale widocznie jest to w składzie redakcji Leśnika specjalnie wyćwiczony rycerz, którego wypuszcza się od czasu do czasu na harce z naszem wydawnictwem, a jako bojownik bez trwogi, lubi występować z odsłoniętą przyłbicą. Szanujemy odwagę w każdym, nawet w największym przeciwniku i przyjmujemy rzuconą rękawicę, robimy to zaś tem *ochotniej*, że łatwo nam będzie podziurawić zardzewiałą zbroję adwersarza. Czuła też widocznie redakcja „Leśnika Polskiego", że pan Małkowski włada mocno wyszczerbionym mieczykiem, czyli w tym wypadku piórem, skoro nie poprzestano na wydelegowaniu na redutę p. Małkowskiego, lecz wysłano za nim w sukurs aż całą baterję... „Radę Wydziału i cały Komitet Redakcyjny".

Jak widzimy, aż za wiele dział wielkiego kalibru wytoczono dla zabicia takiego małego ptaszka, jakim w oczach Sanhedrynu z ulicy Hożej jest skromna nasza „Gazeta". Niechajże jednak szanowny aeropag mężów, zgrupowanych około „Leśnika Polskiego" pozwoli nawet temu ptaszkowi bronić się wtedy, gdy czuje słuszność za sobą. A jeżeli w tej obronie padnie czasem jakieś niemiłe dla strony przeciwnej słowo, to dziwić się temu nikt chyba nie będzie, nie my bowiem pierwsi zaczepiliśmy organ Wydziału Leśnego, lecz od początku byliśmy stale w sposób złośliwy zaczepiani, albo raczej jesteśmy ofiarami systematycznie na nas i bezwzględnie prowadzonej naganki. *Tu l'a voulu George Dandin! tu l'a voulu.*

Panowie z „Leśnika Polskiego", chełpiący się dbałością o wzorowy język polski, znać chyba muszą staropolskie przysłowie: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie", tego też przysłowia trzymać się będziemy, odpowiadając na zaczepkę w tym samym, co i oni tonie.

Przedewszystkiem zatrzymajmy się tutaj nad tą dbałością o język polski, którą to dbałość przesadnie stara się markować „Leśnik Polski". Uderzylibyśmy się z pokorą w piersi i przyznalibyśmy, że istotnie nieraz przytrafiły się w „Gazecie" germanizmy, gdybyśmy takich samych, albo gorszych jeszcze germanizmów, wzmożonych przez rusycyzmy, nie napotykali w ogromnej ilości u naszych oponentów. Przecież przyznał to nawet sam Wy-

dział Leśny, gdy uchwalił zaangażowanie odpowiedniej siły, któraby dbała o lepszy jezyk literacki. (Patrz „Leśnik Polski № za lipiec sierpień str. 249). Jak kraj nasz długi i szeroki, tylko w gwarze Powiśla używane jest np. słowo „słuchać **się**" a właśnie takie słowo znajdujemy w ostatniej napaści na „Gazetę Leśną". Takich kwiatków językowych doszukalibyśmy się kopami w artykułach Leśnika, gdybyśmy tropić chcieli tego rodzaju lapsusy.

Mamy jednak poważniejsze sprawy na głowie, aniżeli prowadzić korektę w piśmie obcem. *Testimonium paupertatis* pod względem znajomości języka polskiego wystawili sobie redaktorzy „Leśnika" nietylko owem „*słuchaniem* **się**", ale więcej jeszcze nieznajomością tak czysto polskiego wyrazu, jak „ochota i ochotnie". „Leśnik" wolałby użyć wyrażenia „chęć", sądzimy jednak, że nawet drugoklasista ze szkoły polskiej pouczyłby Szanownych jego Redaktorów, że co innego jest „ochoczość", a zupełnie co innego owa narzucana nam „chętliwość". Widocznie zasobna redakcja „Leśnika Polskiego" nie zdobyła się jeszcze na zakupno „Słownika" Bogumiła Lindego, gdyby bowiem posiadała to szacowne dzieło w wydaniu z roku Pańskiego 1809-go, to w tomie II część I str. 405 znalazłaby wytłómaczenie wyrazu „ochotnie", a tak samo doszukałaby się w tomie III str. 548 prześlicznego drugiego wyrażenia, którego użył p. W. Olszowski, a mianowicie „wycięciska". Niechajże kulawi nie uczą ludzi prostych i normalnie zbudowanych tańca!

Po tym wstępie przechodzimy już do odparowania innych zarzutów, czynionych nam przez organ Wydziału Leśnego. Pozwolimy sobie tedy zapytać się na wstępie szanowną Redakcję „Leśnika Polskiego", na jakiej podstawie ośmiela się przemawiać tonem *du haute grandeur*? I co upoważnia pismo to do przechwalania się jakąś wobec nas „pobłażliwością"? Nam wcale nie imponuje ani ilość, ani jakość naczelnych redaktorów „Leśnika" oraz całego komitetu redakcyjnego, jeżeli bowiem dziewięć osób nie może wysmażyć w przeciągu całego roku nic więcej, nad 10 zeszycików beztreściwego pisma, w dodatku pod względem estetycznego wyglądu wydawanego wprost niechlujnie, toć chyba za mały to tytuł do przybierania pozy i pouczania, jak się wydawać pewinno pismo. Przykro nam bardzo, ale nie owijając w bawełnę, przyznać musimy, że w składzie redakcji Leśnika nie widzimy wcale powag naukowych, przed któremi wypadałoby nam się korzyć, a wobec zaściankowych wielkości chyba nie potrzebujemy bawić się w jakieś nadzwyczajne rewerencje.

Co innego zupełnie, gdy mamy np. przed sobą prof. Sokołowskiego! Gdy taki mąż nauki, obszerniej pisząc o naszej „Gazecie" w „Sylwanie", wytyka nam niektóre błędy, to oczywiście obowiązkiem naszym jest nie popadać w nie po raz drugi. Ale gdy w roli cenzorów języka polskiego występuje p. Miklaszewski, p. Czaplickie, *tutti quanti*, to możemy takie napomnienia, jak na to zasługują w pełni, zbagatelizować. No! Ale właśnie dlatego, że prof. Sokołowski jest naprawdę powagą, w krytyce jego, pomieszczonej w „Sylwanie" napróżno szukalibyśmy podobnie napstliwego tonu, jakim odznacza się stale „Leśnik Polski", nietylko w stosunku do naszej „Gazety", ale do wszystkich ludzi, odważających się pisać o leśnictwie bez uzyskania aprobaty ze strony prześwietnego areopagu wydziałowego.

Przyłapaliśmy już redakcję „Leśnika" na gruntownej nieznajomości języka polskiego, nie cofniemy się też od przyłapania jej na mówieniu najoczywistszej nieprawdy. Z toku ostatniej polemiki, jeżeli wogóle brzydka napaść zasługuje na nazwę, „polemiki", wypływałoby, że my w „Gazecie Leśnej i Myśliwskiej", rozpoczęliśmy walkę z „Leśnikiem" w widokach jedynie konkurencyjnych. Jest to, lekko się wyrażając, mijanie się z prawdą. Pismo nasze zaczęliśmy wydawać od 1-go kwietnia 1912-go roku, a puszczając ten pierwszy numer w obieg, wyraziliśmy się jaknajpochlebniej o istniejącym już przed nami organie Wydziału Leśnego. Wydzięczając się nam za to, w poszycie za maj-czerwiec 1912-go roku urządzono w Leśniku Polskim pierwszy napad p. Małkowskiego na naszą „Gazetę".

Napastnikowi chodziło wtedy o to, że związaliśmy nierozerwalnie leśnictwo z myśliwstwem. W gruncie rzeczy dyskusja na taki temat mogła mieć pozory, że tu chodzi o zagadnienie zasadnicze, wycieczka tedy p. Małkowskiego, gdyby utrzymana była w tonie przyzwoitym, wywołać powinna była niewinną wymianę poglądów. Aliści już przy tym pierwszym ataku pan M. puścił wodze zgryźliwości i podsunął kilka wyrażeń i uwag w wysokim stopniu obrażających, co musiało oburzyć przyjaciół naszego pisma. Tak się też stało. W obronie naszej wystąpili p. p.: Rück, Lipowski i Olszowski, ostatecznie zaś wspaniałą lekcję o nierozerwalności leśnictwa z łowiectwem dał p. Małkowskiemu i redakcji „Leśnika Polskiego" p. Rożyński.

Zapędzony w kozi róg p. Małkowski ani myślał dać za wygranę i oto w następnym poszycie (Lipiec—Sierpień) znów wyruszył w szranki, kierując swoją stępioną dzidę wprost w piersi wydawcy „Gazety", a robiąc wysoce niesmaczną aluzję do tego, że p. Busecki jest z pochodzenia Ślązakiem i poddanym austrjackim, radził przenieść nasze wydawnictwo do któregokolwiek z miast monarchii austrjackiej. Czyż to nie typowe? W chwili, gdy Warszawa z czcigodnym mecenasem Osuchowskim na czele wytęża wszystkie siły, ażeby zagrożony pod względem narodowym Śląsk austrjacki ratować i ażeby jednać sobie odłam ludu rdzennie autochtonicznego, w takiej chwili p. Małkowski Ślązakowi, pragnącemu pracować dla kraju, każe swoje lary i penaty przewozić daleko poza granice wspólnej naszej Oj-

czyzny! Miła zachęta dla tych Ślązaków, którzy garną się do naszej Macierzy.

I takie potworności drukował „Leśnik Polski", ustawicznie mając na ustach zapewnienia, że jemu tylko o dobro sprawy ogólnej chodzi, że daleką mu jest wszelka myśl szkodzenia „Gazecie", że tylko rzeczową, nie inną uznaje w prasie dyskusję! Ładna rzeczowość, gdy się rzuca takie inwektywy, jak to uczynił p. Małkowski w całym zjadliwym artykule swoim podówczas.

Ale nawet wszelkie przypisywania nam nizkich pobudek nie zdołały wytrącić nas z równowagi, przebrała się jednak miara cierpliwości, gdy z inicjatywy redaktorów „Leśnika Polskiego" zapadła owa dostatecznie już osławiona i ośmieszona „uchwała", dotycząca *coûte que coûte* krytykowania naszego wydawnictwa. Wówczas musieliśmy już zabrać głos i zaprotestować energicznie przeciw takiej formie ubijania pisma polskiego, które z tych, lub innych powodów, okazało się niektórym panom niewygodne. Poza tym jedynym artykułem naprawdę polemicznym, nigdy „Gazeta" nie otwierała łamów dla czczej kłótni o ten wiatr, co wieje. Jeżeli bowiem udzielaliśmy gościny artykułom p. Olszowskiego, Godlewskiego, Szeteka i innych, to robiliśmy tak dlatego, że ci autorzy mają naprawdę coś do powiedzenia w kwestjach, dotyczących leśnictwa i myśliwstwa, prace też ich miały zawsze podkład rzeczowy.

Tak się przedstawia naga prawda, którą „Leśnik Polski" stara się wykrętami przeinaczyć. Jeszcze raz twierdzimy, że nie my byliśmy i jesteśmy stroną zaczepiającą, a jeżeli p. Małkowski i redakcja „Leśnika" utrzymują inaczej, to z dowodami w ręku możemy przedstawić istotny stan rzeczy.

Mijać się z prawdą stało się już najwidoczniej metodą „Leśnika Polskiego", bo oto mamy tego dalsze przykłady. Utrzymując, że „GazetaLeśna i Myśliwska" nie może stanowić konkurencji dla organu Wydziału, redakcja dla udosadnienia tego dodaje, iż liczba członków i prenumeratorów stale wzrasta, gdy tymczasem nieoględnie przytoczony wykaz tych członków i prenumeratorów wskazuje na coś wręcz przeciwnego. Zwolennicy „Leśnika" kurczą się i to w sposób zastraszający, z grona bowiem tego ubyło ani mniej, ani więcej, jeno 139 osób. Cyfra potężna, a gdy jeszcze zważymy, że w wykazie figurują nieboszczycy, oraz, że niektóre osoby, jak np. p. Brodzikowski wymienieni są dwukrotnie, to nie zdziwimy się, że na redaktorach „Leśnika Polskiego" cierpnie skóra, ażeby i ta garstka „naszych", jak się wyraża „Rada i Komitet", nie rozprysnęła się na cztery wiatry, co przytrafić się może bardzo łatwo, jeżeli p.p. Miklaszewski i Czaplicki, zamiast dbałości o artykuły interesujące i pouczające, zabawiać się będą w bezcelową nagankę na naszą „Gazetę".

Wątpliwej wartości publicystycznej redaktorowie i nieuznawani za powagi naukowe autorzy mają jednak wysokie wyobrażenie o sobie i swojej działalności, prawią też nam ustawicznie duby smalone o jakichś „celach" wyższych, o „obowiązkach", które wzięli na wątłe swoje barki, o „posłannictwie", które zamierzają spełnić. Jakie to cele i jakie posłannictwo, to już w mgłę otulona tajemnica tych panów, bo z poszycików „Leśnika" domyślać się tego i wyczuć cośkolwiek niepodobna. Przypuszczać tylko wolno, że dążenie polega na tem, ażeby skupić i zorganizować rozproszonych leśników i pchnąć naukę na jasno wytknięte tory. Myśl niewątpliwie przepiękna, ale do przyobleczenia jej w ciało najmniej właśnie kwalifikacji posiadają mężowie, zgrupowani około organu Wydziału. Zarozumiałość niczem nieusprawiedliwiona, zamiast przyciągać, odpycha ludzi, a upór, którym odznacza się prześwietny areopag, nie świadczy wcale o tem, ażeby się spodziewać można było w przyszłości zmiany na lepsze.

Jeżeli p. Lucjan Małkowski, pasowany na rycerza gwoli wyprawiania harców polemicznych z „Gazetą Leśną i Myśliwską", zasługuje na uśmiech pobłażliwy, gdy dosiadłszy Rosynanta śle nieszkodliwe pociski w naszą stronę, to przecież przykrym staje się naprawdę widok wtedy, gdy w roli Sanszo Panszy występuje „Rada i Komitet". Zbyt poważne to grono, ażeby mu wypadało przedsiębrać szturm na ustawione przez p. Miklaszewskiego i Czaplickiego wiatraki. Uczucie przykrości musi ogarniać, gdy mężowie poważni tylko dlatego, ażeby wyciągać kasztany z pieca dla niektórych wygórowanie ambitnych jednostek, kładą swoje podpisy pod takie „uchwały" niedorzeczne, jak owa, dotycząca krytyki naszej „Gazety", albo też pod takie brakiem logiczności grzeszące napaści, jak pseudo—rzeczowa polemika w poszycie marcowym „Leśnika Polskiego".

Czyż ci panowie nie zastanowili się bodaj przez chwilę, że przykładają rękę do akcji wcale niepięknej? Czy nie przyszło im na myśl, że narażają nietylko opinię, ale osoby swoje, aprobując w ten sposób zredagowaną odezwę? Przecież cała odezwa, od początku do końca, to jeden ciąg obryzgiwania błotem przeciwnika, to szereg karkołomnych koziołków, wyprawianych kosztem zdrowej logiki!

Logika, nawet prosty rozum chłopski nakazuje przedewszystkiem mówić i pisać prawdę, a tego w „Leśniku" szukamy napróżno. Jak nie jest prawdą, że „Gazeta" pierwsza wszczęła zatarg z „Leśnikiem", tak nie jest prawdą, że p.p.: Olszowski, Godlewski, Lipowski, Rück, Rożyński i inni obrzucali kiedykolwiek „błotem, obelgami i nizkiemi podejrzeniami" współpracowników „Leśnika Polskiego". Nie jest prawdą, że „Leśnik" rozpoczął napady na nas jedynie pod presją „zwiększającej" się liczby członków i prenumeratorów.

Kto na tylu punktach mija się z prawdą, ten nie zasługuje na to, ażeby mu wierzono co do innych zapewnień. Nie wierzymy zatem, ażeby redakcja „Leśnika" nie raczyła nas

uważać za konkurentów, jak nie wierzymy również w to, że gdyby nawet pismo nasze redagowane było idealnie, doczekałoby się przychylnej oceny w „Leśniku“. Szydło zbyt wyraźnie wychodzi z worka, przybieranie też skóry baraniej dla zamaskowania krwiożerczych instynktów wilczych nie wywiedzie nas w pole.

Zagrajmy raz nareszcie w otwarte karty, jedynie to bowiem postępowanie uczciwe. Istnienie „Gazety Leśnej i Myśliwskiej“ jest dla panów z „Leśnika Polskiego“ arcy niewygodne i dlatego wszelkiemi sposobami chcieliby ją uprzątnąć jaknajprędzej. Dlaczego? Nietrudno się domyślić. Organ Wydziału zapragnął posiąść monopol, zapragnął okadzać się dymem własnych kadzideł i z wysokości swojego trójnoga rządzić autokratycznie, ferując wyroki na prawo i lewo bez apelacji. Biedny leśnik, którego nos, czy oczy nie spodobały się wielkim augurom, a który odważył się mieć także swoje zdanie, odmienne od obowiązującego w klice, mógł być w każdej chwili zmiażdżony. Doświadczył tego na sobie pan Olszowski, którego ani wieku, ani półwiekowych zasług nie umiano ocenić, a którego potraktowano w „Leśniku Polskim“, jak młodzieńca, ośmielającego się po opuszczeniu szkolnej ławy w Puławach odrazu chwytać za pióro, ażeby pouczać swoją galaretowatą jeszcze wiedzą innych. Doświadczyli zjadliwości i zgryźliwości reformatorów i uzurpatorów p.p.: Łączkowski, Busecki, i inni. Zgnębieni nie mieli sposobności do obrony, nie było bowiem pisma, któreby dawało pole do odparowania ciosów. Nagle powstaje „Gazeta Leśna i Myśliwska“ i otwiera się to pole, a więc huzia! Jak śmiecie wy, jacyśtam Ślązacy, wdzierać się w nasze prawa! My tu jesteśmy jedynymi uprawnionymi stróżami godności stanu leśniczego i wara wchodzić na nasze podwórko!

Oto pierwszy, główny powód animozji i do redaktora naszego pisma i do całego przedsiębierstwa. A drugi powód niemniej jasno się przedstawia: „Leśnik Polski“, aczkolwiek nosi szumne miano „organ Wydziału“, jest sobie pisemkiem małem, nikłem, pod względem typograficznym przedstawiającem się nadzwyczaj marnie. Nawet zebrawszy wszystkie poszyciki razem, otrzymamy nie rocznik okazały, ale coś, co nie jest naprawdę książką, a przestało już być broszurką. Za taki komplet płacić się powinno najwyżej od rubla do dziesięciu złotych, a już przy cenie dwóch rubli wydawnictwo zamykać powinno bilans przewyżką dochodów nad rozchodami. Tych dochodów, jak wiadomo, „Leśnik Polski“, nie przynosi, lecz przeciwnie pobiera subsydjum, z którego znaczną część pochłania „śmiesznie małe“ wynagrodzenie za „ciężką“(?) pracę redaktorską osób, poświęcających się „ideowo“ pismu. Nawet hebes, nieznający się ani krztyny na stosunkach wydawniczych, porównywając dziesięć poszycików „Leśnika Polskiego“ z 24-ma numerami „Gazety Leśnej i Myśliwskiej“, musiał sobie zadawać pytanie: czem się to dzieje, że przedsiębiorca prywatny, jakim jest p. Busecki, może dać piękny papier, czyste odbicie ilustracji, może wogóle, jak przyznaje nawet Rada i Komitet, ofiarować pismo o wyglądzie ponętnym, podczas gdy przy pomocy materjalnej Wydziału jego organ szwankuje na tym zwłaszcza punkcie?*) Idąc dalej po drodze takiego rozumowania, każdy laik dojść musiał do przekonania, że „Leśnik Polski“ powinien wyglądać inaczej, niż obecnie. Z tem trzeba się pogodzić, że ludzie przyzwyczaili się już do pewnego komfortu, biorąc więc pismo do ręki, pragną, ażeby ono nie raziło oczu. A tymczasem „Leśnik Polski“ budzi już na pierwszy rzut oka odrazę lichym papierem, marną robotą drukarską, a kiedy pismo to pokusi się jeszcze o „ozdobienie “zeszytu jakim portretem, czy innym obrazkiem, to wówczas przypominają się żywo bohomazy, pomieszczane *temporibus quondam* w poczciwym „Kmiotku,“ albo „Przyjacielu leszczyńskim“. Kto płaci, ten ma prawo wymagać, tą maksymą kieruje się „Gazeta Leśna i Myśliwska“ i tu właśnie bije źródło jej powodzenia, kolącego w oczy słabe mających wyobrażenie o technice wydawninej redaktorów „Leśnika Polskiego“. Jeżeli do marnego papieru, marnego odbicia i t. p. dodamy jeszcze treść mało interesującą, to będziemy mieli dokładny obraz pozującego na powagę „organu“. Deklamacje czcze, puste zapewnienia o „ideowości“, „celowości“, „dążności“ i wszelkich innych „ościach“, oprócz najważniejszej „złości“, dobre są w prospekcie, ale powtarzane ustawicznie, gdy chodzi o zgnębienie „Gazety“, wywołują efekt wręcz przeciwny zamierzonemu. Publiczność się tem nudzi, bo ona chce towaru — tak jest, nie cofamy tego wyrażenia: towaru dobrego, nie znajdzie go zaś w sklepiku, obwieszonym i zapełnionym od góry do dołu frazesami.

Nie mogąc nam sprostać pod względem techniki wydawniczej, redakcja „Leśnika Polskiego“ obrała inną drogę do ubezwładnienia naszego pisma i zamiast milczeć o „Gazecie“, jak to kilkakrotnie najsolenniej czynić obiecywała, skacze nam do oczu w histerycznych podrygach. Czegoż się w „Leśniku“ nie imputuje „Gazecie“? Ludzie, nie mający pojęcia o takcie i przyzwoitości dziennikarskiej, ludzie aż nadto znani z tego, że rozparłszy się na stołkach redakcyjnych, odznaczają się wprost chorobliwą zjadliwością i bryzganiem jadu na wszystkie strony, wmawiają w nas brutalstwo, szkodliwe i nie obywatelskie traktowanie poważnej sprawy.

Hola! mości Panowie, to już trochę zadaleko posunięty ferwor polemiczny. Prosimy, nie! my nie prosimy, ale żądamy dowiedzenia nam, że „Gazeta Leśna i Myśliwska“ w jakikolwiek sposób sprzeniewierzyła się obowiąz-

---

*) Wyraz „szwank“ jest również w redakcji tego „polskiego“ pisma nieznany. Biedny Linde, szkoda jego pracy!

kom obywatelskim, my żądamy wskazania: gdzie i kiedy nasze pismo działało na szkodę kraju, lub na szkodę sprawy leśnictwa polskiego? Zarzut to zbyt ciężki, ażebyśmy go mogli pominąć milczeniem, niechcąc jednak zaprzątać sądów koronnych roztrząsaniem skargi o potwarz, żądamy na tej drodze kategorycznej odpowiedzi na postawione tutaj pytanie; liczymy zaś na szybką odpowiedź, boć przecież nie z oszczercami nieodpowiedzialnymi moralnie, lecz z ludźmi kulturalnymi mamy chyba do czynienia.

Moglibyśmy na tem wezwaniu zakończyć niemiłą w każdym razie utarczkę słoz z „Leśnikiem Polskim", nie uczynimy jednak tego, zbyt dużo bowiem po przeciwnej stronie wywrócono koziołków logicznych, ażebyśmy odmówić sobie mieli satyfakcji pobawienia się jeszcze trochę kosztem p. Małkowskiego i prześwietnej Rady, oraz Komitetu.

Otóż p. Małkowski rzuca pytanie: „Kiedyż nareszcie spotkam się z nazwiskami wybitnych fachowców zagranicznych"? Miło nam zaspokoić ciekawość buńczucznego oponenta oświadczeniem, że teka redakcyjna nie jest u nas pusta, pomiędzy innemi zaś posiadamy specjalnie dla „Gazety" napisane prace redaktora Justyna A. Mana z Ameryki i nadleśnego Józefa Obra z Pietrosic pod Kutną Horą. Kiedy zaś te prace wydrukujemy, to już wewnętrzna sprawa naszej redakcji. Jesteśmy pismem od nikogo niezależnem i nie potrzebujemy wskutek tego słuchać (ach! prawda, podług „Leśnika" pisać się powinno „słuchać **się**") nakazów „Rady i Komitetu" co do tego, jakie i kiedy drukować artykuły. Uczynimy to wówczas, gdy nam się to spodoba, a (może „Leśnik" wolałby wadliwą formę, „gdy się to nam będzie podobało"? Bo i to możliwe u czyścicieli języka, używających formy „będę szedł", zamiast „pójdę", albo „będę widział", zamiast „zobaczę"). Tak jest, robimy to, co się nam podoba, a czy się to nasze podobanie spodoba również p. Małkowskiemu, Radzie i Komitetowi, to już tyle nas obchodzi, co śnieg zeszłoroczny. Podobało się nam, prywatnemu przedsiębiorstwu wydawniczemu, dać kilka artykułów z pisma Holzkäufer i uczyniliśmy to bez skrupułu, a że p. Małkowski nie jest zadowolony z tego tłómaczenia, to już ani nas ziębi, ani grzeje. Co do wadliwości tego tłomaczenia pod względem językowym, to raczy nam pan M. wybaczyć, że jego autorytet jest dla nas odrobinkę zamały. Jeżeli pan prof. Sokołowski nie widzi w „Gazecie" zbyt rażących zboczeń językowych, to chyba mniej do tego prawa ma p. Małkowski i inni tego pokroju szermierze z „Leśnika", ci szermierze, którzy w pokorze ducha przyznają, że obcy jest im wyraz „ochotnie" i „wycięciska", a którzy natomiast z lubością „słuchają **się**" i „patrzą **się**". Najśmieszniejszy jest wszelako zarzut, zrobiony „Gazecie", iż „zapożyczyła się" od Wagnera w ozdobieniu okładki jeleniem. Jak to widać, że p. Małkowski nie wychylił głowy poza rogatki, gdyby bowiem był zwiedził wystawę berlińską, to przekonałby się, że zarówno Wagner dla pisma „Wild und Hund", jak Busecki dla „Gazety Leśnej i Myśliwskiej" wykonali tylko kopię z arcydzieła malarskiego. Ale chyba p. M. nie zaprzeczy, że skoro nawet rytownik ma prawo umieszczać swój podpis pod rysunkiem, to tem większe ku temu prawo posiada rysownik-kopista. No! jeśli tylko takie przewinienia zarzuca p. Małkowski naszem wydawnictwu, to możemy spać spokojnie.

Ale czyż tylko pan Małkowski ma takie drobiazgi, takie bzdurstwa do przyganienia? Toć przecież cała Rada, dwóch redaktorów i 7-miu członków Komitetu redakcyjnego mozoli się, ażeby wyszukiwać najgorsze strony „Gazety" i cóż wykryli? Kilka błędów zecerskich, kilka omyłek korektorskich i... koniec na tem. Do treści artykułów nie zajrzeli. I to się ma nazywać „oceną rzeczową"!! Wolne żarty! Rada i Komitet uznały, że treść „pozostawia wiele do życzenia". Czyż nieprawda, jak to ładnie brzmi, prawdziwie po polsku? „Lässt viel zu wünschen übrig". Kto takich pięknych zwrotów, tłomaczonych dosłownie z niemieckiego używa, ten mógłby spokojnie przenieść redakcję „Leśnika Polskiego" do któregokolwiek z miast monarchii rakuskiej...

Redakcja, Rada i Komitet zapewniają, że nie chcą szkodzić „Gazecie". Przecież i Bismark i Bülow i Bethman-Hollweg twierdzili zawsze, że im ani w głowie „szkodzić" Polakom w W. Ks. Poznańskiem, a i p. Stołypin zapewniał, że odłączenie Chełmszczyzny dzieje się tylko dla dobra Królestwa! Wielcy statyści gniecenie tłómaczyli „racją stanu", a wielcy mężowie z „Leśnika Polskiego" mają na usprawiedliwienie swoich gnębicielskich zachcianek frazes o „punkcie widzenia zawodowo-leśnego". „Zgadnij Jezu, kto Cię bije"!

Cieszy nas niepomiernie, że „Leśnik" chętnie przyjął do wiadomości (i to prześlicznie wyrażone po polsku: „gern zur Kenntniss genommen"), iż „Gazeta" mocno stanęła na nogach, ale wcale nas nie buduje upór, z jakim trzyma się raz powziętej uchwały prowokowania krytyki, czyli mówiąc bez ogródek, szczucia na nasze wydawnictwo. Upór to wada bardzo brzydka, wada, która jest przywilejem upośledzonych stworzeń, w rodzaju kozła, osła i mało oświeconych, niższych sfer ludności. Upieranie sie wtedy przy swojem, gdy rzecz jest oczywista, iż przeholowano i palnięto bąka, nie dowodzi wcale zbyt wielkiego rozgarnięcia umysłowego p.p.: redaktorów, Rady i Komitetu.

A zresztą wolno przecież każdemu robić tak, jak uważa za stosowne. Piszcie zatem, szanowni panowie, krytykujcie, ile się tylko zmieści, ale dotrzymajcie nareszcie słowa i nie zanieczyszczajcie łamów „Leśnika Polskiego" napaściami, nic zgoła niemającemi wspólnego z rzeczową, spokojną oceną. Taka ocena bardzo nam jest pożądana, ale czepiania się omyłek językowych i zecerskich uważać będziemy musieli za objaw histerycznej zgryźliwości.

Na takie zaczepki nie będziemy nawet odpowiadali, stosując się do mądrego wskazania, zawartego w przysłowiu arabskiem, które głosi: „Pies szczeka, a karawana idzie dalej".

REDAKCJA.

Maleńkie *postscriptum*. Wśród tysiąca zarzutów, podniesionych w artykule Rady i Komitetu, znajdujemy, jak zwykle, gołosłowne twierdzenie, że „styl i *pisownia* są nie polskie i dziwnie rażące". To zastanawia. Za czasów p. Olszowskiego doskonale uczono mówić i pisać po polsku, więc chyba w późniejszym wieku nie zapomniał mowy ojczystej. Z ojcem p. Mścisława Godlewskiego miałem zaszczyt kolegować i tylko cieszę się, że syn pierwszorzędnego publicysty objął po ojcu i stryju styl doskonały. Pan Rożyński dowiódł, jak dzielnie włada piórem, co do mnie zaś, to chyba za świadectwo starczy z górą 30-letnia praca literacka, w ciągu której zdążyłem wydać 54 tomy (vide „Encyklopedja Orgelbranda") i napisać przeszło 10,000 artykułów, doczekawszy się takiego wyróżnienia, że prof. Chmielowski i prof. Edward Grabowski zaprosili mnie jako tłómacza poetów z XVII i XVIII-go wieku. I oto my wszyscy piszemy „nie po polsku i dziwnie rażąco"...

„Gazeta" trzyma się pisowni „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk", uwzględniając przytem akceptowane wyrazy przez Akademję Umiejętności, a odrzucając korektury p. p.: Kryńskiego, Appla, Kreczmara i innych. Czy ma Rada i Komitet może jakąś lepszą pisownię? Prosimy ją wyjawić, cały kraj będzie za to wdzięczny.

Zarzucano nam dalej pomieszczanie „nieudanych dowcipów" (po polsku mówi się „nieudatnych") i częstochowskich wierszy. Co do dowcipów, to sprawa sporna, dla jednych dobry jest dowcip z „Grigri", lub „Cnotliwej Zuzanny", dla drugich skarbnicą humoru jest Rej, „Poskromienie złośnicy", lub „Komedja pomyłek".

Co do utworów poetycznych jednak, to prawda, że nie ozdabiamy łamów „Gazety" utworami Tetmajera, Staffa, Kasprowicza i t. p., lecz pomieszczamy rzeczy bezpretensjonalne. W każdym jednak razie tak szanujemy smak naszych czytelników, że nie odważylibyśmy się drukować takiej „poezji", jak zawarty w poszycie marcowym „Leśnika Polskiego" utwór Ogończyka.

I to jest wiersz „konkursowy"?!!? Nie, ten utwór pod względem nieudolności stoi „*hors concours*". Wystarczy jedna strofka, kwalifikująca tę perłę poetyczną p. Ogończyka bądź na „oślą łąkę", bądź do „kącika humorystycznego":

„Hej, bracia leśnicy, gromada *nas tu*,
Lecz każdy z nas idzie w rozterce,
I pada pod losem, nie czuje *już tchu*,
Do walki nie bije mu serce".

Czyż nie szczytna to poezja! Soter Rozbicki *redivivus*. Maluczko, a może przeczytamy inny utwór „konkursowy", w rodzaju: „Hopsasa! do lasa".

Włodzimierz Trąmpczyński.
Sekretarz Redakcji „G. L. i M.".

Dalsze głosy w tej sprawie p. Olszowskiego i innych umieścimy w następnych numerach naszego pisma.



Poweselmyż się choć w pieśni!...

Dawniej lasy były święte,
Oj dana! Oj dana:
Odrastały, jak zaklęte,
Oj dana! Oj dana!

Teraz inne mamy czasy
W koło wielkie ambarasy:
Tu rzuciły się osutki,
Żółte flancom dając smutki;

Tam znów pędrak zjadł korzonki,
Pięknych kultur przeciął mrzonki;
Szkółki nucą smutne prozy:
Zagryzły je suche mrozy!

Co nam robić, bracia leśni?...
Oj dana! Oj dana!
Poweselmyż się choć w pieśni!
Oj dana! Oj dana!

Robotnika dostać trudno,
Ciągle prosić go już nudno;
Gdy podniesiesz krzynę płacę
Wnet właściciel woła: „tracę"!
Prawdę mówiąc, nie ma racji:
Zapomniał o emigracji
Co zabiera lepsze siły,
Które dawniej las sadziły.

Było kiedyś lepiej w lesie,
Oj dana! Oj dana!
Żydek nie był w interesie
Oj dana! Oj dana!

Gdy nam teraz trza pieniędzy
Wycinamy las do nędzy,
Wprzód *Komitet* nasz *ochronny*
Namówiwszy, by był *skłonny!*
Po tem Icki, Moszki, Srule
Całujemy w brodę czule,
By choć część dali wartości
Co sprawi nam moc radości!

A gdy wytniem lasy stare,
Oj dana! Oj dana!
Posadźmyż chojarków parę!
Oj dana! Oj dana!

Wtedy *Komitet ochrony*
Przed prawem da nam obrony,
Chociaż lasu mało będzie,
Zapanuje radość wszędzie.
Wziął właściciel garść mamony,
Pojechał gdzieś w cieple strony,
Prosząc: „panie, na kultury
Nie wydawaj złota góry".

Co nam robić, bracia leśni?
Oj dana! Oj dana!
Poweselmyż się choć w pieśni!
Oj dana! Oj dana!...

M. Godlewski.

ZDRADLIWY SZNUREK.

Pan Pafnucy, warszawiak z urodzenia, zawołany myśliwy, nietylko na półmisku, zwykł mawiać zawsze, iż nigdyby nie dał się wziąć na żaden „kawał myśliwski". Właśnie wczoraj, w ciepły lipcowy wieczór, siedzieliśmy na ganku i sypaliśmy jak z worka różnemi anegdotkami i kawałami myśliwskiemi, a pan Pafnucy choć się sam śmiał do rozpuku z przygód warszawskich nemrodów, jednak powtarzał co chwila:

— A to musiał być fuszer! A to urodzony gapa! a to głupiec! co za frajer! sto pociech...

Trzeba tego zdarzenia, że nazajutrz, przy kośbie łąki, złapali kośnicy obarczoną kaczkę. Zaraz tedy wpadliśmy na myśl poświęcenia jej dla p P. Tak się też i stało. Kiedy więc pan Pafnucy siedział na świeżem powietrzu, zażywając wywczasów letnich i popijając świeże wiejskie mleko, od prawdziwej wiejskiej krowy, wpadł na ganek jak bomba lokajczyk z wielkim krzykiem:

— Kaczka na stawie!

Furda śniadanie i prawdziwe mleko krowie! to nie zwierzyna, więc nie ucieknie; natomiast kaczka może gdzie znurkować, a to by przecież ominęła gratka pana Pafnucego, żądnego wrażeń myśliwskich. Pan Pafnucy, mimo przekroczonej czterdziestki, nie da się wyprzedzić. W lekkich podskokach pędził naprzód, nabijając broń po drodze, za nim zaś pędzili inni nemrodzi daleko mniej ruchliwi.

Było do stawu jeszcze ze sześćdziesiąt kroków, kiedy istotnie ujrzano na środku stawu kaczkę.

Paf! — rozległ się strzał, po którym błyskawicznie kaczka znurkowała. Lecz po krótkiej chwili znów wypłynęła; drugie paf! zmusiło ją do jeszcze pośpieszniejszego znurkowania. Wszak pan Pafnucy jest nie dzisiejszym myśliwym, więc nim inni myśliwi stanęli na pozycjach, dopiero teraz nabijając broń, p. P. z ogromną wprawą zawołanego myśliwca, nabił nanowo flintę i czekał.—Przecież to nie kamień—myślał—musi więc gdzieś wypłynąć. I rzeczywiście, wkrótce kaczka powtórnie wypłynęła na powierzchnię wody. Nowe paf! Śrót obsypał ją dokoła, ale powtórzyła się ta sama historja—kaczka jeszcze raz znurkowała, wypływając znów po chwili i znów—paf! Tym razem zakotłowała się woda; kaczka zaczęła po wodzie bić skrzydłami, zapewne szczęśliwie dotknięta jednem ziarnem w szyję. Teraz pan Pafnucy otarł pot z czoła. Nic dziwnego! Chyba z pięćset kroków biegł i z całą energią kropił deszczem ołowiu. Ale za to nikt go nie ubiegł i kaczkę dowiódł aż do progu śmierci.

— Dziwne to, że się nie poderwała — rzekł ktoś z boku.

— Pewnie młódka—dodał inny.

— Młoda byłaby w stadzie; musi to być starka — tylko źleście panowie widzieli, gdyż już po pierwszym strzale nie mogła prawie się ruszać. Później strzelałem już tylko dla-

tego, aby się długo nie męczyła, choć daję wam słowo, że dalej byłaby już nie poszła— przecież chciała, a nie mogła—wyrzekł jednym tchem nasz tryumfator.

— No! mniejsza z tem — syp pan teraz po nią.

Pan Pafnucy lubił ranną kąpiel. Szybko się więc rozebrał i rzeźko wskoczył do wody. Po chwili miał już biedną kaczkę. Ale co u djabla! coś się dlugiego ciągnie za nią... Podnosi się do góry i o zgrozo!...

Kaczka była przywiązana długim sznurkiem do olszaka; schowany tam chłopak odstraszał biedną kaczkę wciąż od brzegu.

Naturalnie kaskada śmiechu rozległa się szeroko ponad stawem; pokładali się wszyscy. Tylko pan Pafnucy, zachmurzony, zacisnąwszy zęby, stał w wodzie przez chwilę zły i groźny... Wreszcie, stwierdziwszy doświadczalnie, że dobry żart tynfa wart, przybrał minę zgłupia frant, i kiwając poważnie głową, półgłosem narzekał:

— Nie sztuka!... na sznurku! bodaj!...

— A widzi pan—zawołał ktoś ze świadków kompromitacji — można wziąć na kawał nawet dobrego myśliwego.

— Koń ma cztery nogi, a i to się potknie...—mruknął w gniewie pan Pafnucy.

— Ale nigdy nie twierdzi, że w życiu się nie potknie...—brzmiała z kąta odpowiedź.

— Ha! ha! ha! ha!—dało się słyszeć wokoło...

Ponoć pan Pafnucy odzyskał humor dopiero w Warszawie.

Mieszko z Podlasia.



Treść: Chwila przed burzą. — Gospodarstwo leśne w dobrach Mierzów. — Psy polujące. — Odyniec. — Pola dla zwierzyny. (Ciąg dalszy).— Polowanie na lisy. — Najlepszy sposób chwytania bażantów przy dzikiej hodowli.—Strzelanie wiosenne „Tirs aux pigeons".—Luźne uwagi.—„Leśnikowi Polskiemu" słów kilka odpowiedzi.—Wywczasy na leśniczówce: Poweselmyż się choć w pieśni!...—Zdradliwy sznurek.

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8.— półrocznie rb 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyncze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50 Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 stron. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rs. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracyi. — Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.